



EGZORCYSTA
KONRAD FREJDLIH
STR. 6

**MAGICZNA
KULA**

STR. 8

KONFRONTACJE-74

STR. 12

**MIĘDZYNARODOWY
DZIEŃ TEATRU**

STR. 7



**LIST
GOŃCZY**

STR. 16



ODGŁOSY

ROK XVIII NR 13 (903)

27 MARCA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Wbrew przyjętemu zwyczajowi tym razem nie będziemy w rubryce tej prezentować Szan. P.T. Czytelnikom żadnych bliżej określonych materiałów. Stały Czytelnik znajdzie bez trudu swych ulubionych autorów i tematy. Nie byłoby jednak fair gdybyśmy nie ostrzegli, iż nie wszystko co dziś publikujemy należy traktować dosłownie i zbyt serio. Może się zdarzyć, że wystarczy lekko przymknąć oko, a rzecz zjawia się nam w innym wymiarze.

Bo wszakże mamy przed sobą 13 numer pisma, za sobą — pierwszy dzień kalendarzowej wiosny. a w najbliższej perspektywie „dyngus” i „prima aprilis”. Jakże więc nie sprawić drobnego psikusa, jakiejś facecji czy niespodzianki, która wywoła uśmiech na twarzach naszych Przyjaciół.

Z życzeniami zatem mnogości uśmiechów (również aury), przyjemnego wypoczynku i lektury w okresie świątecznym, kreśli się zespół redakcyjny.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

START 15 LIPCA!

15 lipca 1975 roku o godzinie 15 minut 37 i 2 sekundy czasu moskiewskiego z kosmodromu Bajkonur wystartuje na orbitę okołozemską radziecki statek kosmiczny „Sojuz”.

W 7,5 godziny później z kosmodromu na przylądku Cap Canaveral wystartuje amerykański statek kosmiczny „Apollo”.

Podczas 36 okrążenia Ziemi przez radziecki statek „Sojuz” — po dwu dobach przebywania w kosmosie — ma spotkać się z amerykańskim statkiem „Apollo”, aby następnie, poruszając się w przestrzeni kosmicznej z szybkością 8 km na sekundę, dokonać połączenia obu pojazdów.

Będzie to pierwszy w dziejach wypraw kosmicznych międzynarodowy lot, zamykający przeszło trzyletnią współpracę amerykańskich i radzieckich kosmonautów, a jednocześnie otwierający dalszą współpracę międzynarodową w Kosmosie. Przyszłości wypraw kosmicznych nie można bowiem opierać na międzynarodowej rywalizacji. Ale też współpraca kosmonautów możliwa stała się w okresie utrwalającej się polityki pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach politycznych i społecznych.

— Byłem pilotem marynarki wojennej — powiedział przedstawicielowi „Życia Warszawy”, Karolowi Szyn-dzielskiemu amerykański kosmonauta, Ronald Evans — i to naprawdę wspinał się, że teraz wybieram się w Kosmos razem z moimi radzieckimi przyjaciółmi, których jeszcze 10 lat temu uważałem za swoich wrogów.

KTO POLECI W KOSMOS?

Amerykanie przygotowują dwie trzyosobowe załogi. Pierwsza: gen.

bryg. THOMAS STAFFORD — dowódca oraz DONALD K. SLAYTON i VANCE D. BRAND.

Druga rezerwowa: Alan Bean, Jack Lousma i Ronald Evans.

W Związku Radzieckim do wspólnego lotu przygotowano 4 dwuosobowe załogi.

Pierwsza: ALEKSIEJ LEONOW — dowódca oraz inżynier pokładowy WALERY KUBASOW.

W skład trzech rezerwowych załóg wchodzi:

— plk Anatolij Filipczenko i inż. Nikołaj Rukawisznikow.

— mjr Władimir Bzanibekow i inż. Boris Andrejew.

— kpt. Jurij Romanienko i inż. Aleksander Iwanczenko.

„Apollo” i „Sojuz” są statkami kosmicznymi odpowiadającymi sobie klasą lecz różniącymi się konstrukcyjnie. „Apollo” posiada trzyosobową załogę, „Sojuz” — dwuosobową. Stąd dla każdej załogi wyznaczono do startu przygotowanego zastępców na wypadek nie-

Dalszy ciąg na str. 3

WŁODZIMIERZ PARYS

WIOSENNE IMPRESJE



JACEK BROMSKI — STORY

(odcinek pierwszy)

**PRAWDZIWA
HISTORIA
O
KROLEWNE
ŚNIEŻCE I
SIEDMIU
KRASNOLUDKACH**





SPOTKANIE Z LAUREATAMI

W ubiegłą niedzielę odbyło się w sali Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Łodzi spotkanie z lauretami konkursu — plebiscytu na „Łodzianina — 1974”. Laureatami — jak już informowaliśmy — zostali: HENRYK CZYZ, ZDZISŁAW HAS, JADWIGA HRYNIEWIECKA i MICHAŁ KUNA.

NOWE WŁADZE ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU ZLP

Na środowiskowym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym, wybrano nowe władze Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich. W skład zarządu weszli: Jerzy Wawrzak (przewodniczący), Bernard Sztajnert i Apoloniusz Zawilski (wiceprzewodniczący), Tadeusz Glogier (sekretarz), Henryk Czarniecki (skarbnik), Eugeniusz Iwanicki i Józef H. Wiśniewski. Komisja rewizyjna: Józef M. Kononowicz (przewodniczący), Karol Obidniak, Andrzej Ostojka-Owsiany i Tadeusz Papier; sąd koleżeński: Stanisław Kaszyński, Horacy Saffrin, Janusz Skoszkiewicz.

Na uroczystość wręczenia nagród — pamiątkowych talerzy z wygrawerowanym napisem „ŁODZIANINOWI ROKU 1974 REDAKCJA I CZYTELNICZY” — przybyli licznie Czytelnicy pisma. W uroczystości uczestniczyli również sekretarz KL PZPR — Zbigniew Faliński i kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KL PZPR — Tadeusz Lewandowski.

Łodzianom Roku, których w głosowaniu wybrali Czytelnicy spośród dziesięciu kandydatów, serdeczne gratulacje z okazji wyboru i zaszczytnego miana złożył redaktor naczelny „Odgłosów” — Jerzy Wawrzak, podkreślając, że jest to już siódmy plebiscyt, który znalazł uznanie wśród Czytelników pisma i stał się już tradycją w kulturalnym życiu Łodzi.

Pozostałym uczestnikom plebiscytu, którzy kandydowali do miana „Łodzianina Roku” obdarowano pamiątkowymi albumami. Nagrody rzeczowe i książkowe otrzymali też Ci z Czytelników biorących udział w plebiscyście, na których wskazał szczęśliwy los.

W imieniu wyróżnionych podziękował Henryk Czyż, podkreślając, że wybór „Łodzianinem Roku” jest dowodem uznania dla pracy twórczej i działalności kulturalnej, dowodem, że działalność artystyczna, naukowa i kulturalna nie odbywa się w próżni społecznej, a znajduje żywy oddźwięk wśród odbiorców. Takie wyróżnienie zobowiązuje do podejmowania dalszych wysiłków i inicjatyw.

Po rozdaniu pamiątkowych talerzy, nagród i wyróżnień odbyła się miła impreza, w której wystąpili aktorzy scen łódzkich: Karol Obidniak i Jan Zdrojewski. Odczytali oni wiersze łódzkich poetów publikowane na łamach pisma w ubiegłym roku.

Przed zgromadzoną publicznością, gośćmi i laureatami konkursu — plebiscytu wystąpili też artyści Filharmonii Łódzkiej: Zenon Hodor (skrzypce) i Edward Przylecki (fortepian).

Wszystkim, którzy wzięli udział w niedzielnej imprezie, artystom i gościom REDAKCJA składa serdeczne podziękowanie. Dziękujemy również serdecznie Michałowi Kunie za wystawienie w dniu imprezy swoich zbiorów bibliofilskich, które cieszyły się dużym zainteresowaniem uczestników spotkania.

(m. r.)

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru wszystkim ludziom sceny i miłośnikom sztuki aktorskiej życzenia nowych i coraz piękniejszych wrażeń artystycznych

składa
Zespół „Odgłosów”

NIE TYLKO HISTORIA

BAJKAŁ ALE NIE Z PIOSENKI

Nazwa Bajkał kojarzy się nam dziś z piosenką, przypomina znane z filmowych obrazów surowe piękno odległego kraju; nie wywołuje żadnych niemiłych skojarzeń. Ale przed kilkudziesięcioma laty było przeciwnie. Dla wielu mieszkańców byłego imperium rosyjskiego brzmiała ona groźnie i kojarzyła się z zestaniem: kraj bajkałski w oddalonej Syberii był jednym z obszarów, gdzie rząd carski wysłał swych przeciwników. Nie tylko Polaków, bo także i Rosjan. Ale Polaków było tam — jak i w innych stronach — bardzo wiele. Historyk badający dzieje polskich zesłańców po powstaniu styczniowym szacuje, że było ich od 37 do 38 tysięcy, z czego blisko 20 tysięcy przypadło na Rosję Europejską. Reszta znalazła się w różnych stronach Syberii.

Temat syberyjskich losów Polaków utrwaliło w ubiegłym stuleciu wielu naszych pamiętnikarzy. Podjęła go także nauka historyczna, choć trzeba przyznać, że od jakiegoś czasu interesowano się nim coraz mniej. Z dawniejszej literatury przypomnijmy książkę Michała Janika, po wojnie mamy do odnotowania niewiele artykułów oraz pracę Władysława Jewsiwiewskiego. Dochodzi do nich obecnie interesująca publikacja Henryka Skoka „Polacy nad Bajkałem 1863 — 1883”, wydana świeżo przez PWN (1974). Znaczenie zdystansował nas pod tym względem uczeni radzieccy, którzy dziejom polskich zesłańców w carskiej Rosji poświęcili wiele badań. Jeszcze w okresie międzywojennym ukazała się książka P. N. Luppowa, we współczesnej historiografii radzieckiej tematyka ta zajmują się znani polskim badaczom uczeni, jak N.P. Mitina, T. F. Fiedosowa, L. S. Kaszychin i inni, przede wszystkim zaś wybitny syberyjski historyk S. F. Kowal.

Carska Rosja była krajem osobliwie rozbudowanej biurokracji, która pozostawiła po sobie olbrzymią ilość zapisanego papieru, tak

wielką, że nawet najbardziej radykalny przewrót ani wojna nie były w stanie go zniszczyć. Akta najrozmaitszych władz najróżniejszych szczebli, urzędów i instytucji, zajmujących się zesłańcami, przechowywane w archiwach, porządkowane i udostępniane historykom stanowią materiał, pozwalający na lepsze niż dawniej poznanie dziejów polskich zesłańców. Dzięki niemu otrzymujemy ogólny obraz znacznie pełniejszy od dotychczasowego, konstruowanego przede wszystkim w oparciu o pamiętnikarstwo, a więc przekazy bez wątpienia tylko cenne, co jednostronne.

H. Skok nie dotarł wprawdzie do archiwów syberyjskich, wykończył jednak oprócz źródeł uzyskanych w Polsce także archiwalia moskiewskie oraz prasę z Syberii z drugiej połowy ubiegłego stulecia. Pozwoliło mu to na opracowanie monografii, będącej pierwszym w naszej literaturze zarysem dziejów polskich zesłańców po powstaniu styczniowym w oparciu o materiały archiwalne. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że aczkolwiek dalsze badania muszą przynieść jeszcze wiele nowych ustaleń, już to, co udało się autorowi zebrać, stanowi wiele. Pozwala miłanowicie na skonfrontowanie zamierzeń represyjnych caratu z rzeczywistością syberyjską, planów ze skutkami. Ukazuje codzienne, ale także istotne realia ówczesnych stosunków, mające doniosłe znaczenie dla losów polskich zesłańców. Ujawnia niezwykle postaci, warte przypomnienia. Do nich należy m.in. gubernator tobołski Aleksander Despot — Zenowicz, Polak o liberalnych przekonaniach, zafascynowany twórczością A. Hercena, którego stosunek do zesłańców budził nie raz zastrzeżenia władz centralnych. Jeden z polskich zesłańców, E. Pawłowicz, zanotował we wspomnieniach, jak to „wielkowie pod świeżym wrażliwym przechodzącym wszelką miarę okropności etapów, powitani byli w Tobolsku staropolskim pozdrowieniem gubernatora, który z ojcowską troskliwością, rozmawiając z każdym, udzielał rady, pomocy, opieki — a przede wszystkim pociechy”.

Materiały archiwalne w pełni potwierdzają tę i inne, wcale liczne pamiętnikarskie charakterystyki gubernatora, który — jak pisze H. Skok — każda partię zesłańców przyjmował osobliście „rozpytuje (po polsku) o stan zdrowotny, sytuację finansową, stan odzieży i wyrok na każdego więźnia”. Nie ulega wątpliwości, że możliwości pomocy były ograniczone, choćby przez to, że postępowanie gubernatora i tak budziło wiele zastrzeżeń władz, a na jego głowę spadał się donos za donosem, niemniej miało ono swoje znaczenie, jeżeli się zważy, że Tobolsk był głównym punktem przesyłkowym na drodze do Syberii.

Ale z podobną postawą spotykali się Polacy nie tylko u rodaków: generalny gubernator Petersburga, książę Suworow „odwie-

OGÓLNOPOLSKI KONKURS MŁODYCH PUZONISTÓW W PABIANICACH



Już za kilka dni rozpocznie się w Pabianicach jedna z najważniejszych imprez muzycznych naszego województwa — Ogólnopolski Konkurs Młodych Puzonistów. Jest to już druga podobnego typu impreza organizowana w tym mieście. W ubiegłym roku bowiem o tej samej porze, odbył się Konkurs Młodych Trębacz. Powoli zatem zaczyna narastać nowa dobra tradycja.

Bezpośrednia konkursowa konfrontacja — pisze w programie tej imprezy doc. Juliusz Pietrachowicz, jest konieczna i bardzo kształcząca zarówno dla uczestników jak i dla pedagogów. Młodzi instrumentalniści pokazują stopień opanowania instrumentu, muzykalności, odporność psychiczną, pedagogzy zaś mają okazję do porównania różnych myśli dydaktycznych.

Organizatorami konkursu są: Katedra Instrumentów Dętych PWMS w Warszawie, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi, Wydział Kultury Urzędu Miejskiego w Pabianicach. Stowarzyszenie Polskiej Młodzieży Muzycznej, Wojewódzkie Towarzystwo U-

powożeni Kultury oraz rządnictwa Szkoła Muzyczna i 11 listopada w Pabianicach, która wzięła na swoje barki ciężar prac organizacyjnych. Imprezie patronują: wicewojewoda łódzki — Kazimierz Borczyk, i sekretarz KM FZPH w Pabianicach — Eugeniusz Kraj oraz naczelnik tego miasta — Stanisław Fronczak. W skład komitetu honorowego wchodzi ponadto przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki, Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi WRZZ, przedstawiciele placówek artystycznych i organizacji młodzieżowych.

Uczestnicy konkursu oceniani będą przez komisję jurorów złożoną z pracowników naukowych wyższych szkół muzycznych. Komisji przewodniczy prof. Ludwik Kurkiewicz z PWMS w Warszawie.

Uroczyste otwarcie konkursu w dniu 8 kwietnia połączone jest z koncertem w wykonaniu jurorów oraz zespołów kameralnych z Warszawy i Łodzi. Przez następne trzy dni odbywać się będą przesłuchania uczestników konkursu, natomiast w ostatnim dniu imprezy — 12 kwietnia odbędzie się uroczysty koncert laureatów.

Solistom towarzyszyć ma Łódzka Dęta Orkiestra Garnizonowa pod dyktando por. mgr Zdzisława Borkowskiego oraz Orkiestra Kameralna „Pro Musica” pod dyktando doc. Zbigniewa Friemana.

Z okazji przeprowadzania konkursu przygotowano okolicznościowy afisz oraz bardzo udane pod względem artystycznym wydany program imprezy. Wszyscy uczestnicy konkursu obdarowani zostaną okolicznościowymi plaketkami i medallami wykonanymi z okazji Festiwalu.

KWIETNIOWY NUMER „KALEJDOSKOPU”

Ukazał się już w kioskach „Ruchu” kwietniowy numer miesięcznika „KALEJDOSKOP”. Oprócz kalendarium imprez artystycznych, informacji o wystawach, muzeach, filmach — pismo zawiera szereg interesujących publikacji z dziedziny kultury.

Numer kwietniowy otwiera felieton Andrzeja Hampła na temat związków między literaturą Polski i Związku Radzieckiego. W szkicu Władysława Orłowskiego „Przekładowe zagłębie” prezentowane są sylwetki znanych tłumaczy i popularyzatorów poezji Kraju Rad — T. Chrościelewskiego, J. Huszczy, J. M. Kononowicza i innych.

Pismo przypomina także o rocznicy 60 lat Filharmonii Łódzkiej, publikuje ciekawe rozważania na temat teatru Kazimierza Dejmka oraz prezentuje sylwetki łódzkich aktorów i plastyków.

Na łamach „Kalejdoskopu” glos zabiera także Wacław Biliński, kierownik łódzkiego zespołu filmowego. W dziale „Varia” prezentuje się łódzkie zabytki w stałym felietonie Jerzego Wilmańskiego, problemy estrady oraz działalność Polskiego Związku Filatelistów.

Bogato ilustrowany numer kosztuje 5 złotych i jest do nabycia w kioskach „Ruchu”.

LEKTOR

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BIRKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracownicy: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

WSPÓLISTNIENIE

Dalszy ciąg ze str. 1

przewidywanych okoliczności, które uniemożliwiłyby którejkolwiek ze stron wysłanie w Kosmos „pierwszego ze spodu”.

Dlaczego jednak w ZSRR przygotowano aż cztery komplety obsady statku kosmicznego?

Kierujący technicznym przygotowaniem amerykańsko-radzieckiej wyprawy kosmicznej: prof. Konstantin Buszujew i dr Glen Lanny założyli, iż może i tak się zdarzyć, że „Sojuz” i „Apollo” mogą nie spotkać się w Kosmosie i wtedy z terytorium ZSRR wystartuje drugi, „rezerwowo” statek kosmiczny „Sojuz”, który podejmie ponowną próbę połączenia się z przebywającym w Kosmosie statkiem „Apollo”. Dla tego drugiego „Sojuza” przygotowano zatem również dwa składy załóg. Mijemy jednak nadzieję, że obu statkom uda się połączyć w Kosmosie już za pierwszym razem i start „rezerwowego” radzieckiego pojazdu kosmicznego nie będzie potrzebny.

„ERA” CZTERDZIESTOLATKÓW

Obaj radzieccy kosmonauci, przewidziani jako pierwsza załoga „Sojuza” w chwili startu będą mieli: Aleksiej Leonow — 41 lat, Walery Kubaśow — 40.

ALEKSIEJ LEONOW urodził się na Syberii. Początkowo wykazywał uzdolnienia i zainteresowania malarstwie. Zdecydował się jednak na studia techniczne. W 1953 roku ukończył szkołę lotniczą, a później wojskową akademię lotniczą. Był pilotem wojskowym.

Aleksiej Leonow jest weteranem kosmonautyki. Pierwszym człowiekiem, który opuścił pojazd kosmiczny i przez 10 minut przebywał w przestrzeni kosmicznej. Było to w marcu 1965 roku.

WALERY KUBASOW studiował w moskiewskim Instytucie Lotniczym, a po jego ukończeniu pracował w biurze konstrukcyjnym. W październiku 1969 roku był członkiem załogi „Sojuza-6”. Był to lot grupowy trzech statków kosmicznych „Sojuz” — szósty, siódmy i ósmy. W czasie lotu dokonał spawania metalu w przestrzeni kosmicznej. Pracując w biurze konstrukcyjnym, uzyskał stopień kandydata nauk technicznych.

Również ich rezerwowi przebywali już w przestrzeni kosmicznej.

Anatolij Filipczenko liczy sobie 47 lat. Pochodzi ze wsi spod Woroneża. Przez pewien czas pracował jako tokarz. Pełniąc służbę wojskową, ukończył szkołę lotniczą, a następnie wojskową akademię lotniczą. W 1969 roku był dowódcą załogi „Sojuza-7”, który uczestniczył w grupowym locie trzech pojazdów kosmicznych.

Nikołaj Rukawisznikow ma 43 lata i jest absolwentem moskiewskiego instytutu inżynierii fizycznej. W 1962 roku był członkiem załogi statku „Sojuz-10”. Statek ten dokonał połączenia się ze stacją orbitalną „Salut-1”.

Kosmonauci z pozostałych dwóch ekip nie uczestniczyli jeszcze w wyprawach kosmicznych.

THOMAS STAFFORD — dowódca załogi „Apollo” — ma 45 lat i pochodzi z Oklahomy. Jest inżynierem, służył w marynarce wojennej USA, był także pilotem doświadczalnym. Brał trzykrotnie udział w wyprawach kosmicznych: w 1965 roku na statku „Gemin-6”, w 1966 na statku „Gemin-9” i w 1969 roku — na statku „Apollo-10”. W tym ostatnim locie wypróbował transporter księżycowy „LM” i zbliżył się na nim na odległość 15 km do powierzchni Księżyca.

Jego dwaj towarzysze, nie brali jeszcze udziału w wyprawach kosmicznych. DONALD K. SLAYTON w 1962 roku miał pilotować statek kosmiczny „Mercury”, ale w czasie przygotowań do lotu lekarze wykryli u niego arytmie serca. Przez 10 lat leczył się i trenował. Dopiero w 1972 roku lekarze orzekli, że jest zdrow i może brać udział w wyprawach kosmicznych. Donald K. Slayton ma już 51 lat.

Alan Bean ma 43 lata, pochodzi z Teksasu, gdzie też ukończył uniwersytet. Służył w marynarce wojennej. W listopadzie 1969 roku był członkiem załogi statku „Apollo-12” i pilotem transportera księżycowego „LM”. Przebywał na Księżycu 31 godzin 31 minut i 30 sekund. Odbył dwa spacer kosmiczne. Był dowódcą załogi stacji orbitalnej „Skylab-2”. Członkiem tej załogi był Jack Lousma.

Ronald Evans pochodzi z Kansas i ma 42 lata. Jest absolwentem wydziału elektronicznego uniwersytetu w Kansas. Służył w marynarce wojennej, gdzie był pilotem i instruktorem lotniczym. Brał udział w wyprawie kosmicznej statku „Apollo-17”.

Już od pewnego czasu wysła się w Kosmos ludzi dojrzałych, zrównowa-

żonych, posiadających dużą wiedzę i doświadczenie. Wymaga się od nich „żelaznego zdrowia”, znakomitej kondycji, ale ustalono na podstawie wielu doświadczeń, że w trudnych warunkach kosmicznej podróży bardziej potrzebna jest równowaga psychiczna i fizyczna, wielka odporność nerwowa niż szybki refleks i młodzieńczy zapał. Nieprzypadkiem więc trzon ekip, które wezmą udział w lipcowej operacji EPAS (Experiment Program Apollo — Sojuz), „Eksperymentalny projekt Apollon — Sojuz”) stanowią kosmonauci doświadczeni, którzy już przynajmniej raz brali udział w wyprawie kosmicznej.

300 SŁÓW

Moment startu, który ma nastąpić 15 lipca 1975 roku (a gdyby to było niemożliwe z jakichkolwiek przyczyn zostanie „przełożony” do września 1975 roku), poprzedziły przeszło trzyletnie przygotowania. Przede wszystkim kosmonauci musieli się wzajemnie poznać a także nauczyć się języka swoich partnerów. Kosmonauci radzieccy — angielskiego, kosmonauci amerykańscy — rosyjskiego. Była to ciężka praca, trzeba się było uczyć dziennie po 6 godzin i jeszcze przez co najmniej 2 godziny powtarzać przerobiony materiał, aby utrwalić gramatykę i nowo poznane słowa.

Kosmonauci poradzili sobie z tymi trudnościami i już w trakcie tegorocznych wspólnych treningów porozumiewali się wzajemnie po angielsku lub rosyjsku. W podróży, kiedy oba statki połączą się na 48 godzin, kosmonauci radzieccy będą mówili tylko po angielsku, a Amerykanie — po rosyjsku. Przyjęto bowiem zasadę, że rozmawiając w języku swoich partnerów obie strony będą się mogły sprawniej porozumieć i lepiej się nawzajem zrozumieć, a przecież w czasie wspólnego lotu może zdarzyć się wszystko i wtedy decydować będzie właśnie sprawność i skuteczność wzajemnego porozumienia.

Dla ułatwienia porozumienia się w sprawach technicznych ułożono słownik lotu, składający się z 300 słów, a wszystkie napisy wewnętrzne statków kosmicznych wykonane będą w dwu językach.

Obie ekipy trenują wspólnie bądź to w „Zwiedźnom Gorodku” pod Moskwą, bądź w ośrodku NASA w Houston. Niedawno zakończono wspólny trening w Teksasie, gdzie leży Houston. Niedługo kosmonauci amerykańscy przyjadą do ZSRR. Będzie to ostatni wspólny trening przed wspólnym lotem.

Sprawa porozumienia w czasie tego lotu nie sprowadza się jednak tylko do wzajemnego kontaktu kosmonautów. Szybkie i dokładne porozumienie musi też następować między ośrodkami kierującymi lotami kosmicznymi w USA i ZSRR. Amerykańskie Centrum Dowodzenia Lotami znany z transmisji telewizyjnych, kiedy to amerykańscy kosmonauci lądowali na Księżycu. Znajduje się ono — jak wiemy również — w Houston. Radzieckie Centrum Kierowania Lotami Kosmicznymi znajduje się pod Moskwą i wnętrza sali dowodzenia przypomina wnętrza podobnej sali z Houston.

System kierowania radzieckimi statkami kosmicznymi, rozbudowany i uaktualniony, sprawdzony został w czasie lotu statku „Sojuz-16”. Obecnie rozpoczyna się sprawdzanie wzajemnej łączności między centrum kierowania lotami w ZSRR i USA. Połączy

je 9 kanałów telefonicznych, dwa telegraficzne i dwa telewizyjne. Sprawdzanie nie ograniczy się tylko do zbadania sprawności połączeń, ale załogi obu ośrodków przeprowadzą wiele żmudnych treningów, rozwiązując różne skomplikowane sytuacje, jakie mogą zdarzyć się w czasie wspólnego lotu „Apollo — Sojuz”. Aby ten lot przebiegł zgodnie z programem, trzeba sporo natrudzić się i możliwie przewidzieć wszystkie sytuacje i ewentualności.

Jak wynika z dotychczasowych doniesień prasowych przygotowania do wspólnego lotu przebiegają sprawnie i zgodnie z planem.

„APOLLO” — „SOJUZ”

Pierwszy statek „Sojuz” został wyniesiony na orbitę okołoziemską w 1967 roku. Masa tego statku wynosi około 6650 kg. Składa się on z trzech przedziałów: orbitalnego obejmującego laboratorium i urządzenia rekreacyjne, dla załogi i przyrządowego. Długość statku kosmicznego — 13 m. Maksymalna średnica pojazdu — ok. 3 m. Objętość kabiny dla załogi i laboratorium — 9 m sześciennych. We wnętrzu statku ciśnienie i powietrze składem i wilgotnością zbliżone do ziemskiego.

Pierwszy statek „Apollo” wyniesiony został na orbitę okołoziemską w 1964 roku, ale pierwszy statek „Apollo” wraz z załogą wystartował w przestrzeni kosmicznej dopiero w 1968 roku. Był to kolejny, siódmy statek tego typu.

„Apollo” ma masę wynoszącą 44 tony i składa się z trzech przedziałów: kabiny dla trzech osób (Command Module), zespołu przyrządowego (Service Module), gdzie są urządzenia napędowe i techniczne oraz z transportera księżycowego (Lunar Module). Kabina ma kształt stożka o średnicy podstawy 3,84 m i wysokości 3,4 m. Pomieszczenia przyrządowe mają kształt walca o średnicy 3,66 m i długości 6,7 m. Wnętrze „Apollo” wypełnione jest czystym tlenem o ciśnieniu 260 mm słupka rtęci.

„Sojuz” i „Apollo” są statkami tej samej klasy, ale budowano je dla innych celów. „Sojuz” zbudowano dla współpracy ze stacjami orbitalnymi „Salut” i dla przeprowadzania badań Kosmosu. „Salut-1” wystrzelono w przestrzeni kosmicznej w marcu 1971 roku, a ze stacją orbitalną połączył się statek kosmiczny „Sojuz-11” z trzyosobową załogą: kosmonauta G. Dobrowolski i inżynierowie W. Wołkow i W. Pacajew. Ostatnio w stacji „Salut-4” przez 33 dni przebywali w Kosmosie dwaj kosmonauci: Aleksiej Gubariw i Georgij Greczko. W przestrzeni kosmicznej wyniósł ich „Sojuz-17”.

Statek kosmiczny „Apollo” skonstruowano dla realizacji programu lądowania człowieka na Księżycu. Stąd przedział zawierający transporter księżycowy, który umożliwiał kosmonautom odłączenie się od statku macierzystego, lądowanie na Księżycu i powrót do statku. W wyprawie EPAS statek „Apollo” nie będzie miał transportera „LM”.

Zarówno „Apollo” jak i „Sojuz” z racji swego przeznaczenia są przystosowane do łączenia się w przestrzeni kosmicznej z innymi pojazdami. Jednakże oba statki mają inne urządzenia cumownicze. Pierwszym więc krokiem było ujednolicenie tych urządzeń i ta zmiana zostaje już wprowadzona a na stałe i będzie obowiązywała wszyst-

kie pojazdy kosmiczne. Muszą one posiadać ujednolicone urządzenia cumownicze, aby mogły łączyć się wzajemnie w przestrzeni kosmicznej.

W statkach „Apollo” i „Sojuz” inny jest skład gazów wypełniających pomieszczenia i inne ich ciśnienie. W „Apollo” pomieszczenia wypełnia tlen o ciśnieniu 260 mm słupka rtęci, a w „Sojuzie” mieszanina tlenu i azotu o ciśnieniu 760 mm. Aby kosmonauci mogli po przycumowaniu obu pojazdów złożyć sobie wizytę, niezbędna jest ich adaptacja do warunków panujących u „sasiadów”. Dokonywać się jej będzie w specjalnej, trzymetrowej służie, w którą zaopatrzone zostały pojazdy „Apollo”. W czasie pobytu kosmonauty w służie dokona się wymiany składni „atmosfera” pojazdu i ciśnienia, aby umożliwić mu wejście do jednego z dwu pojazdów. I tak aby przejść z „Apollo” do „Sojuza” trzeba będzie adaptować się w służie 25 minut, ale aby powrócić z „Sojuza” do „Apollo” — 2 godziny. Specjaliści radzieccy obniżyli nawet ciśnienie gazów w „Sojuzie”, aby skrócić i ułatwić proces adaptacji przy przechodzeniu z „Sojuza” do „Apollo”.

Szereg ulepszeń i zmian, jakie wprowadzono w czasie przygotowań do realizacji EPAS w statkach „Sojuz” sprawdzili w przestrzeni kosmicznej dublerzy pierwszego radzieckiego zespołu: Anatolij Filipczenko i inż. Nikołaj Rukawisznikow.

Po odnalezieniu się w Kosmosie „Apollo” i „Sojuz” przystąpią do operacji cumowania. Taką operację przeprowadzono już w Houston na 2,5-krotnie zmniejszonym modelu. Operacja wypadła pomyślnie. Wszyscy są przekonani, że powiedzie się ona też w Kosmosie. Po połączeniu się, oba statki „Apollo” i „Sojuz” przez 48 godzin będą stanowiły jeden pojazd. Następnie rozłączą się i będą dalej kontynuowały lot i własne programy badawcze. „Apollo” będzie wodował na Pacyfiku, a „Sojuz” lądował w niewielkiej odległości od Bajkonuru.

KONIEC I POCZĄTEK

15 lipca 1975 roku nastąpi zakończenie określonego etapu badań przestrzeni kosmicznej: samodzielnych tylko wypraw organizowanych przez Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Trzyletni okres przygotowań, w trakcie którego trzeba było pokonać różnorodne bariery od językowej począwszy, a na systemie miar skończywszy, stworzył warunki do współpracy nie tylko na Ziemi, ale i w przestrzeni kosmicznej. Realizacja EPAS otwiera przed kosmicznymi wyprawami możliwość zarówno dalszej współpracy, jak i niesienia sobie wzajemnej pomocy. Ujednolicony system cumowania pozwala łączyć się wzajemnie statkom i nieść pomoc załozce tego, który uległ awarii.

Nawiązana została bezpośrednia łączność pomiędzy amerykańskim i radzieckim ośrodkiem kierowania lotami kosmicznymi. Konsultuje się wzajemnie programy badań kosmicznych. Taka współpraca otwiera możliwość przyspieszenia penetracji przestrzeni kosmicznej i zwiększa jej skuteczność. Nie eliminuje ona dalszego prowadzenia własnych działań i realizacji własnych programów kosmicznych przez każdego z partnerów.

Wzajemna wymiana doświadczeń i współpraca między radzieckimi i amerykańskimi kosmonautami stwarza też możliwość przyspieszenia w budowaniu stacji badawczych w Kosmosie, co

pozwołoby zbadać i rozwiązać wiele niewyjaśnionych problemów naukowych. Współpraca ta ma też poważne znaczenie praktyczne. Programy badań kosmicznych i wypraw w Kosmos stanowią silny bodziec dla rozwoju techniki. Wiele rozwiązań technicznych dokonanych na potrzeby lotów kosmicznych znajduje później zastosowanie w przemyśle, a także w życiu codziennym.

EPAS ma też swoje znaczenie polityczne. Przede wszystkim realizacja tego programu byłaby niemożliwa, gdyby nie utrwalala się zasada pokojowego współistnienia państw o różnych systemach politycznych i społecznych. Jest to również wynik utrwalania się zasady pokojowej współpracy różnych państw, zasady rozwiązywania rodzących się konfliktów przy stole konferencyjnym, a nie na polu bitwy. Warto zwrócić uwagę, że pokojową wyprawę w Kosmos prowadzi będą wojskowi dwu wielkich mocarstw. Thomas Stafford jest generałem brygady, Aleksiej Leonow — pułkownikiem, Ronald Evans — komandorem marynarki wojennej, Anatolij Filipczenko — podpułkownikiem.

W czasie pobytu radzieckich kosmonautów w USA przyjmowano ich i traktowano powszechnie jak przyjaciół. Prezydent USA — Gerald Ford nie tylko spotkał się z nimi, ale zaprosił ich na sobotni piknik do jednej z wypoczynkowych miejscowości pod Waszyngtonem. Mówił o nich: „moi rosyjscy przyjaciele”.

Kiedy w czasie pobytu w Houston amerykańscy koledzy zaprosili radzieckich kosmonautów do zwiedzania Teksasu i zawitali na fermę bogatego teksańskiego hodowcy — Franka Horlocka, przybył tam wicegubernator Billy Hobby, aby przywitać się z radzieckimi gośćmi.

Istnieje więc możliwość współpracy w każdej dziedzinie, możliwość porozumienia i wzajemnego uzgodnienia interesów w imię całej ludzkości i jej przyszłości. Ma to ogromne znaczenie, gdyż wiek XX przyniósł ludności Ziemi wiele skomplikowanych problemów i zagrożeń, których rozwiązanie bez wzajemnej współpracy różnych państw i narodów może okazać się niemożliwym. Politycy utorowali drogę dla tej współpracy. Teraz reszta należy do naukowców, techników, organizatorów z poszczególnych dziedzin życia.

W 1970 roku rozpoczęły się radziecko-amerykańskie rozmowy na temat współpracy w dziedzinie badań kosmicznych. Umowę o takiej współpracy podpisano w maju 1972 roku. Po trzech latach przygotowań, 15 lipca 1975 roku wejdzie ona w nowy etap. Niełatwa jest droga do wspólnego wysiłku na rzecz całej ludzkości. Trzeba na niej przełamywać różnorodne bariery, pokonywać wiele przeszkód, ale jest to droga możliwa, a praktyka pokazuje, że można też z powodzeniem, przy wspólnym wysiłku, pokonywać i przeszkody i bariery.

Ludzie z zainteresowaniem patrzą na wszystkie próby pokonywania różnic, jakie dzielą jeszcze poszczególne narody. Kosmonauci radzieccy i amerykańscy udowadniają, że różnice te można przezwyciężyć nawet w tak trudnej i skomplikowanej dziedzinie, jaką są loty kosmiczne. Ten przykład powinien zachęcać innych.

Zyczymy im więc pomyślnie wyprawy, pełnej realizacji skomplikowanego programu.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

HIPOTEZY (III)

Dlaczego często nie możemy sobie przypomnieć nazwisk, adresów, numerów telefonicznych i pojęć, nawet jeśli się usilnie o to staramy? Czujemy, że to, czego szukamy jest schowane gdzieś w szarych komórkach mózgu i tylko czeka na ujawnienie. Gdzie się podziewa pamięć czegoś, co doskonale znamy? Dlaczego nie możemy używać naszego zasobu wiedzy w taki sposób i wtedy, gdy chcemy?

Robert Thompson i James McConnell z Teksasu spędzili piętnaście lat na dociekanii tajemnicy pamięci i miejsca, gdzie ona się znajduje. Przeprowadzili wiele różnorodnych eksperymentów, uczynili na konie pewien gatunek robaków z rodziny o dźwięcznej nazwie „Dugesia dorotocephala” bohaterami eksperymentu, który miał doprowadzić do fantastycznych rezultatów. Stworzenia te należą do najprostszych organizmów posiadających substancję mózgową a jednocześnie mających złożoną strukturę, która może być całkowicie zregenerowana przez podział komórek. Jeśli któregoś z tych robaków pociąć na kawałki, to każdy kawałek odrósł nie tak, że stanie się pełnym, nieszkodnym osobnikiem.

Thompson i McConnell pozwolili robakom pełzać po plastikowej rynience, do której podłączyli obwód słabego prądu elektrycznego. Na dodatek, umieszcili lampę z żarówką, o mocy 60 watów nad rynienką. Ponieważ wspomniane robaki czują wstręt do światła związały się w kłębek za każdym razem, gdy światło zostanie włączone. Po kilku godzinach włączenia i wyłączenia światła, robaki przestały na to zwracać uwagę. Nauczyle się, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, że światło następuje po ciemności i na odwrót. Wtedy Thompson i McConnell połączyli bodziec świetlny z lekkim wstrząsem elektrycznym, który następował w sekundę po zapaleniu światła. Robaki, które poprzednio odczuły się reagowania na bodziec świetlny, znowu zaczęły związać się w kłębek, gdy poczuły prąd elektryczny.

Pozwolono robakom odpocząć przez dwie godziny zanim znowu wzięto je na tortury. Okazało się, że nie zapomniały one, że muszą oczekiwać wstrząsu elektrycznego po włączeniu światła. Kurczyły się i związały w kłębek nawet jeśli wstrząs nie następował.

Następnie badacze pocięli stworzenia na małe kawałki i czekali przez miesiąc, aż kawałki te zregenerują się i powstaną z nich nowe robaki. Gdy to się stało, przeniesiono je do tej samej plastikowej rynienki i zaczęły ponownie włączać światło w nieregularnych odstępach czasu. Thompson i McConnell dokonali zdumiewającego odkrycia, iż nie tylko głowy, którym odrósł nowo ogony lecz także ogony, które dokonały regeneracji głów, reagowały związaniem się w kłębek przed mającym nastąpić wstrząsem elektrycznym!

Czy w komórkach, które zmagazynowały pamięć dawnych przeżyć i przekazały ją nowo utworzonym komórkom zaszyły jakieś procesy chemiczne? Tak właśnie się stało. Kiedy niewyuczony robak pożył swego wyćwiczonego pobratymca, przejmując także umiejętności swej ofiary. Eksperymenty przeprowadzone w innych laboratoriach potwierdziły fakt, że jeśli komórki zwierzęcia, które nauczono wykonywania pewnych czynności, zostaną wstrzyknięte do ciała innego zwierzęcia, to zdolność wykonywania tych czynności zachowuje się. Na przykład, nauczono szczury naciskać określonego koloru klawisz w celu otrzymania pożywienia. Kiedy zwierzęta dokładnie opanowały tę czynność, zabito je a ekstrakt z ich mózgu wstrzyknięto do jamy brzusznej szczurów nie przyuczonych. Po upływie zaledwie kilku godzin, nie szkolone szczury zaczęły naciskać właściwy klawisz. Doświadczenia z rybami i królikami potwierdziły przypuszczenie, iż przyswojona wiedza może być przenoszona od jednego osobnika do drugiego poprzez transfer pewnych komórek.

Jest obecnie przyjętym faktem naukowym, że pamięć jest magazynowana w cząsteczkach pamięci i że cząsteczki RNA i DNA formują i przenoszą informacje zawarte w pamięci. Gdyby te badania udało się posunąć o krok naprzód, to ludzkość mogłaby w najbliższej przyszłości zapobiec zanikaniu wiedzy i pamięci człowieka w momencie jego śmierci oraz zachować i wykorzystać wszystkie jego zdobycze intelektualne.

Czy dożyjemy czasu, kiedy będziemy mogli oglądać jak superinteligentne delfiny, zaprogramowane do badań pod wodą, kursują między podwodnymi laboratoriami?

ale nie posiadają oni wielu cech, którymi będą się kiedyś odznaczać jako mężczyzna i kobieta. Zanim dorosną, komórki w ich ciałach dokonają podziału trylion razy a wraz z każdym nowym podziałem komórkowym będą zachodzić nowe fazy budowania organizmu spowodowane programem na kartach perforowanych. Chłopcy i dziewczęta zaczęły szybko rosnąć, zjawił się owłosienie twarzy, uwydatnia się piersi. Karty perforowane nigdy się nie mylą: ich dziurki określają przebieg procesów wzrostu w dokładnie określonych momentach. Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że jest to fakt odnoszący się do każdego

ERICH von DÄNIKEN

UNIWERSALNY MAGAZYN PAMIĘCI

Czy zobaczymy jak małpy, których mózgi zostały zaprogramowane do obsługi maszyn drogowych, pracują na ulicach?

Talcie przepowiednie mogą się teraz wydawać śmieszne lecz uważam, że człowiek wapiący w ich wykonalność naraża się na większe ryzyko pomyłki niż ten, który liczy się z nimi jako poważnymi możliwościami.

Jak dotąd, nie ma naukowego dowodu na to, że nieznane istoty z dalekiej przeszłości wiedziały jak przeprowadzać tego rodzaju zabiegi na pamięci. Jednakże znani naukowcy, tacy jak Szklowski, Sagan i inni, nie wykluczają możliwości istnienia na innych planetach dużo bardziej niż nasza zaawansowanych cywilizacji.

I znowu stary Testament daje pole do rozmyślań. Opowiada on o kilku prorokach, którym „bogowie” dali do zjedzenia książki.

Ezechyjel opowiada o następującej uczcie książkowej (Ezechyjel 3:3):

„A mówił do mnie: Synu człowieczy! nakarm brzuch twój, a wnętrzności twoje napelnij temi książkami, które daję. I zjadłem je...”

Nie jest więc dziwne, że karmieni w taki sposób prorocy wiedzieli więcej niż ktokolwiek inny i byli bardziej inteligentni niż ich współcześni!

Od czasu odkrycia cząstek DNA o kształcie podwójnej ślimacznicy wiemy, że jądro genu zawiera wszystkie informacje potrzebne do budowy organizmu. Program komputera zawarty na kartach perforowanych jest sprawą tak dobrze znaną obecnie, że pragnę nazwać plan budowy organizmu zaprogramowany w jądrze „kartami perforowanymi determinującymi życie”.

Te karty perforowane budują żywy organizm według dokładnego planu czasowego. Dziesięcioletni chłopiec i ośmioletnia dziewczynka są oczywiście miniaturami ludzi dorosłych,

organizmu. Opierając się więc na tej solidnej podstawie naukowej chciałbym poddać pod dyskusję myśl, która mnie osobiście wydaje się całkiem logiczną. Dlaczego nie miałby istnieć zbiorowy plan rozwoju całej ludzkości (podobnie jak istnieje dla każdej poszczególnej istoty), poczynając od czasów najbardziej odległych?

Fakty antropologiczne, archeologiczne i etnologiczne osmielają mnie do dołączenia mojej teorii do innych hipotez traktujących o pochodzeniu człowieka. Podejrzewam, że jeśli chodzi o człowieka prehistorycznego, to cała informacja, to znaczy rozkazy zakodowane na kartach, była wprowadzona z zewnątrz poprzez planową sztuczną mutację.

Z mojej teorii wynika, że człowiek jest jednocześnie synem ziemi i dzieckiem bogów. To dwoiste pochodzenie daje w wyniku kolosalne i fantastyczne konsekwencje.

Nasi przodkowie odczuwali swoją rzeczywistość — prymitywną przeszłość — bezpośrednio. Ich świadomość wchłaniała ją a pamięć magazynowała każde zdarzenie. Wraz z przyjściem każdej nowej generacji następowało przekazanie części owej prymitywnej pamięci. Jednocześnie każda nowa generacja dodawała nowe porcje informacji do owych „kart perforowanych”. Nawet jeśli pewne informacje ginęły w miarę upływu czasu lub też jeśli na nie nakładały się inne informacje, to ich suma nie zmniejszała się. Obecnie człowiek jest w posiadaniu nie tylko swojej własnej zmagazynowanej pamięci lecz także zakodowanego programu bogów, którzy w czasach Adama odbywali już podróże kosmiczne!

Nasza obecna wiedza oddziela od całego bogactwa zmagazynowanej uprzednio informacji, bariera przez którą tylko niewielu ludziom udaje się prze-

drzeć w szczęśliwych chwilach. Ludzie wrażliwi — poeci, malarze, muzycy i uczeni — wyczuwają twórczy bodziec tej prehistorycznej pamięci i czasem rozpaczliwie starają się dotrzeć do niedostępnych zasobów informacyjnych. Czarownik wprowadza się w trans za pomocą narkotyków i monotonnych rytów, aby móc przedrzeć się przez barierę odgradzającą go od pierwotnej pamięci. Wierzę również w to, że nawet u podstaw zachowania się zwolenników efektów psychodelicznych leży pierwotny instynkt, który nakazuje im poszukiwać dostępu do podświadomości przez używanie narkotyków i słuchanie podrażniających muzyki. Ale nawet jeśli niektórym ludziom udaje się uchylić drzwi do tego zamkniętego świata, to i tak nie są oni w stanie przekazać innym to, czego doświadczyli w stanie egzaltacji.

Być może pamięć ludzi w starożytności również była nawiedzana wspomnieniami z bardzo odległych czasów. Wiadomo obecnie, że stal hartuje się przez zanurzenie jej w płynnym azocie. Jest to dla nas naturalne zjawisko, które odkryto w czasach nowożytnych. Ale na skutek wpływu prehistorycznej pamięci zjawisko to było wykorzystywane w starożytności. W owych czasach przy powierzchniowym hartowaniu mleczy zapiano je po uprzednim rozgrzaniu do czerwoności, w ciałach jeńców. Skąd jednak wiedzieli, że ciało ludzkie zawiera mnóstwo organicznego azotu? Skąd też znano jego chemiczne działanie? Po prostu z praktyki?

Jak — pytam się — nasi przodkowie osiągnęli zaawansowany stopień techniki i nowoczesną wiedzę medyczną, jeśli nie od nieznanych istot inteligentnych?

Dlaczego ludzie wierzą, że jakaś śmiała myśl może po pewnym czasie stać się faktem, że to, co kiedyś było fantazją czy majaczeniem stanie się pewnego dnia rzeczywistością?

Jestem głęboko przekonany, że uczeni są natchnieni przez nieposkromioną chęć poznania tyłu rzeczy, przemienienia w rzeczywistość przynajmniej tyłu wspomnień, ile ich było wprowadzonych do pamięci ludzkości przez nieznane istoty inteligentne w zamierzchłej przeszłości. Musi być przecież przekonywający powód, dla którego kosmos był przemożnym celem badań naukowych w ciągu całej historii ludzkości.

Nie można przecież wątpić, że wszystkie stadia rozwoju techniki, każdy najmniejszy postęp i wszystkie wizjonerские pomysły były jedynie zbliżaniem się do wielkiej przegrody — ponownego zdobycia kosmosu.

Myśli, które nam ciągle wydają się zawile i niepokojące były już prawdopodobnie rzeczywistością na naszej planecie w jakimś odległym momencie w przeszłości.

Mam szczerą nadzieję, że moje uwagi wskażą nowe kierunki poszukiwań, które w końcu zaprowadzą do przekonujących rezultatów. Dwa przypadki, które Pauwels i Bergier opisują w książce „Breakthrough into the Third Millennium” zgadzają się bezpośrednio z moim przekonaniem, iż pierwotne wspomnienia oczekują odkrycia w świadomości ludzkiej. Nie ma nic nadprzyrodzonego ani ezoterycznego w żadnym z tych przypadków. Pierwszy dotyczy Duńczyka, laureata nagrody Nobla, Nielsa Bohra (1865—1962), który położył podwaliny pod współczesną teorię atomu. Ten światowej sławy fizyk opowiadał, w jaki sposób przyszedł mu na myśl długo poszukiwany model atomu. Śniło mu się, że siedział na słońcu z płonącego gazu. Wokół niego pędziły z sykiem planety, które zdawały się być przywiązane nieznaną siłą do słońca, wokół którego krążyły. Nagle gaz zmienił się w ciało stałe, planety skurczyły się i zniechęciły. Niels Bohr twierdził, że w tym momencie obudził się i natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że we śnie widział poszukiwany model atomu. W roku 1922 dostał za swój sen nagrodę Nobla. Drugi przypadek opisany przez Pauwelsa i Bergiera dotyczy dwu naukowców, którzy byli jednocześnie

wizjonerami i ludźmi czynu. Pewien inżynier w USA pracujący w Bell Telephone Company przejął się bardzo opisami bombardowań Londynu w roku 1940. Pewnej jesiennej nocy śniło mu się, że narysował schemat urządzenia, które mogło naprowadzić drogę lotu samolotu nieprzyjaciela w ten sposób, że pociski z działa trafiłyby samolot w określonym miejscu, niezależnie od jego szybkości. Następnego dnia rano inżynier narysował szkic tego, co już rysował we śnie, a w końcu zbudował prototyp urządzenia, w którym po raz pierwszy użyto radaru. Znany amerykański matematyk, Norbert Wiener (1894-1964) był odpowiedzialny za produkcję urządzenia w skali masowej.

Wierzę, że to, o czym ci dwaj genialni uczeni śnili, oparte było na posiadanej przez nich od wieków podświadomej wiedzy. Na początku zawsze jest pomysł lub sen, który trzeba udowodnić w praktyce. Myślę, że jest całkiem prawdopodobne, że pewnego dnia genetycy molekularni, którzy już obecnie wiedzą jak funkcjonuje kod genetyczny, odkryją również ile — a nawet jakiego rodzaju — informacja została zaprogramowana na kartach perforowanych naszego życia przez nieznane istoty inteligentne. Brzmie to fantastycznie, ale pewnego dnia moglibyśmy nawet odkryć przy pomocy jakiegoś słowa-klucza można byłoby wydobyć z przedwiecznej pamięci wiedzę na określony temat.

Moim zdaniem, kosmiczne wspomnienia przenikały coraz silniej do naszej świadomości w trakcie ewolucji człowieka. Pobudzały one powstawanie nowych idei, które były już kiedyś realizowane w praktyce w czasach odwiedzin „bogów”. W niektórych szczęśliwych momentach, bariery oddzielające nas od przedwiecznych wspomnień zawałają się. Wtedy siły napędowe odkryte w zmagazynowanej wiedzy uaktywniają się w nas.

Czyż jest tylko rzeczą przypadkiem, że druk, zegar, samochód, samolot, prawa ciążenia, funkcjonowanie kodu genetycznego — wszystko to było wynalezione lub odkryte kiedyś, prawie jednocześnie w różnych miejscach na kuli ziemskiej?

Czyż jest tylko zwykłym przypadkiem, że myśl o odwiedzinach naszej planety przez nieznane istoty inteligentne została wyłożona w wielu książkach jednocześnie, przy pomocy różnych argumentów i z wyzyskaniem różnych źródeł?

Szalenie tempo życia nie pozostawia nam czasu wolnego na poznawanie — podświadomości. Popędzane ciągłym nawalem nowych podniecających wrażeń, nasze zmysły nigdy nie sięgają miejsc magazynowania wielowiekowych wspomnień. Logiczną jest dla mnie rzeczą, że wspaniałe wizje przeszłości i przyszłości ukazują się przede wszystkim przed oczami mniłochów w celach, uczonych w odosobnieniu laboratoriów, filozofów i ludzi umierających samotnie.

Od najdawniejszej przeszłości przeżywamy wszyscy swoje życie na spirali ewolucyjnej, która niepowstrzymanie niesie nas w przyszłość w tę przyszłość, która według mego przekonania była już przeszłością, nie przeszłością, która według mego przekonania jest w nas i stanie się kiedyś teraźniejszością. Ciągłe jeszcze oczekujemy definitywnych dowodów naukowych na potwierdzenie tej hipotezy. Ja jednak wierzę w moc tych wybranych istot, którym został dany taki subtelny mechanizm selektywny, że pewnego dnia zostanie im ujawniona informacja, zmagazynowana w mrokach przeszłości, na temat istniejącej kiedyś rzeczywistości. Zanim nadejdzie ten szczęśliwy dzień, zgadzam się z Teilhardem de Chardin, który mówi:

„Wierzę w naukę lecz czy nauka kiedykolwiek zadała sobie trud badania świata inaczej niż przez oglądanie rzeczy z zewnątrz?”

Opracował: B. KRAKOWIAN

JACEK BROMSKI — STORY

(odcinek drugi)



ARCHEOLOGIA

Poruszenie wśród mieszkańców wsi Brzeg w powiecie poddębickim wywołało odkrycie jednego z rólników, który na swoim polu wyorał nieźle zachowany szkielet ludzki. W kości łopatkowej mocno tkwiło zardzewiałe ostrze żelaznego noża...

O niecodziennym odkryciu niezwłocznie powiadomiono miejscowy posterunek MO. Specjaliści z wydziału służby kryminalnej KW MO w Łodzi stwierdzili jednak, że badanie bliższych okoliczności gwałtownej śmierci spowodowanej pchnięciem noża w tym przypadku nie należy do ich kompetencji. Ustalili bowiem, że kości — choć doskonale zachowane — liczą kilkadziesiąt lat. Sprawę przekazano więc archeologom.

Po dokładnym zbadaniu miejsca znaleziska mgr Anna Dzięgowska z Muzeum Regionalnego w Sieradzu określiła, że znaleziony szkielet pochodzi z XI wieku. Na dokładne datowanie pozwoliło znalezienie w pobliżu charakterystycznych właśnie dla tego stulecia ozdób w postaci naszyjników ze szklanych i srebrnych paciorków.

Dalsze badania wykazały, że w Brzegu zachowało się całe cmentarzysko wczesnośredniowieczne. Grób zamordowanej osoby położony był jednak poza obrębem tego cmentarzyska i w przeciwieństwie do innych grobów nie zachowały się ślady trumny w jakich wówczas chowano zmarłych.

Antropolodzy określili, że znalezisko jest szkieletem kobiety w wieku ok. 30 lat. Nóż tkwił w jej prawej łopacie, od strony zewnętrznej. To wskazuje, że cios zadano z tyłu. Prawdopodobnie mógł spowodować śmierć rannej niewykłuczonej, że zmarła ona na skutek jeszcze innych obrażeń.

Archeologowie wzięli pod uwagę kilka motywów, które stać się mogły tłem tragedii. Według opinii jednych, kobieta mogła stać się ofiarą zazdrośnego męża, który przytapał ją na wiadro. Inni sugerowali, że ją potraktoвано jako ofiarę kulturową i zabito, by pochować wraz ze zmarłym mężem lub krewnym.

Ostatecznie zwyciężyła opinia, że zamordowaną kobietę jej współczesni uznali za czarownicę. Mogło więc dojść do samosądu z tragicznym finałem. Na taki motyw wskazuje to, że była pochowana poza obrębem cmentarza. Jak jednak było naprawdę?

1000-LETNIA ROSLINKA

W czasie badań archeologicznych prowadzonych na XI-wiecznym cmentarzysku w Masłowicach pod Wieluniem, w jednym z 40 grobów, odkryto dobrze zachowane nasiona nie zidentyfikowanej rośliny. Przeprowadzona w miejscowej stacji hodowli roślin ekspertyza nie pozwoliła na określenie gatunku nasion. Powiedziano tylko niezobowiązująco, że są to prawdopodobnie nasiona lubczyku.

Badania archeologiczne wykluczyły możliwość późniejszego pochodzenia nasion i określiły ich wiek na równi z wiekiem cmentarzyska, tj. na ok. 900 lat. Zatrudniony przy badaniach robotnik Zdzisław Dobroń wpadł na niezwykle pomysł — kilka wydobytch z grobu nasion posadził w doniczce i codziennie podlewał. Po kilkunastu dniach trzy nasiona zaczęły kiełkować. Wkrótce jednak zwiędły.

O pomoc w identyfikacji nasion zwrócono się do prof. dr Witolda Niewiadomskiego, kierownika Instytutu Uprawy Roli i Roślin w Olsztynie.

„Szanowny Panie Profesorze! — pisał znalazca nasion, kierownik ekspedycji archeologicznej, mgr Bogusław Abramek.

Przyznam się szczerze, że stan zachowania tych nasion może budzić wątpliwości co do ich wieku. Osobiście eksplorowałem ten grób i nie zaobserwowałem żadnych śladów, które mogłyby wskazywać na późniejsze pochodzenie nasion. Szkielet zmarłego mężczyzny znajdował się na głębokości 70 cm, licząc od obecnego poziomu próchnicy. W tym miejscu jest wzniesienie, które niedawno w czasie budowy drogi zostało zniwelowane o pół metra.

Grób podobnie zresztą jak wszystkie inne, miał dobrze widoczną jamę, odróżniającą się zabarwieniem od jednolicie jasnożółtego piasku. Podczas eksploracji takiej jamy widoczne są późniejsze wykopy czy też krecie korytarzyki. Jeśli więc założymy, że nasionka były zawleczone do grobu przez jakiegoś gryzonia, to niewątpli-

wie w ziemi (żółty piasek) widoczne byłyby ślady jego pobytu. Nasionka znalezione zostały przy poziomie szkieletu zmarłego, obok jego lewego biodra. Przypuszczam, że znajdowały się one pierwotnie w jakimś woreczku. Możliwe jest, że wpłynął on dodatkowo na stan zachowania nasion...”

W Olsztynie nasionka potraktoвано z całą powagą. Znany jest przecież przypadek odkrycia na Alasce nasion jaskra lodowego, jeszcze starszych, bo przetrwały w wiecznej zmarzlinie lodowej ok. 10 tys. lat. Niedawno Polska Agencja Prasowa podała, że w Juszowie archeolodzy z Gdańska znaleźli ziarna pszenicy sprzed 2 700 lat...

SKARB W JEJIORZE

Cały miesiąc olsztyńscy naukowcy bacznie obserwowali roślinki wyrastające z zagadkowych nasion. W końcu nie mieli wątpliwości — z wysianych ziaren wyrósł w ciepłarnianych warunkach okazały powój...

Czy rzeczywiście nasiona przetrwały w ziemi tysiąc lat? Archeolodzy z Łodzi i Włocławka postanowili zjednoczyć swoje wysiłki, by sprawdzić, ile prawdy jest w legendzie, która mówi o wielkim skarbie zatopionym w prywatnym jeziorze w Sadłuzku. Według relacji spisanej przez badacza historii Ziemi Kujawskiej — Maksymiliana Boruckiego, szlachcic nazwiskiem Thorzewski, dowódca oddziału wojsk Władysława Łokietka, miał tu w 1331 roku zagrozić Krzyżakom drogę na Brześć. Gdy już nie mógł dłużej powstrzymać naporu wroga imię Thorzewski kazał w jeziorze zatopić dębowa skrzynię z kosztownościami powierzonymi jego pieczy.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową, poprzedni właściciel jeziora, usiłował skarb wydobyć. Kupił i sprowadził maszynę parową, przy pomocy której obiecywał sobie wypompowanie wody z jeziora. Nie dał rady.

Zamierzenia archeologów, którzy poprosili o pomoc pletwonurków z Bydgoszczy, żywo zainteresowały numizmatyków. Do naszych czasów bowiem zachował się jedynie nie budzący wątpliwości egzemplarz dukata Łokietkowego. Znajduje się w zbiorach Czapskich w Krakowie. Jest to moneta nie większa od naszej 50-groszówki. Na jej awersie widnieje wizerunek króla na tronie, trzymającego w prawej ręce berło a w lewej jabłko. Moneta została odkryta przypadkowo przez Erazma Niedzielskiego, którego władze austriackie internowały po upadku Wiosny Ludów w Bochni. Spacerując uliczkami miasteczka zainteresował się czynnościami miejscowego jubilera przygotowującego do przetopu złote monety. Wśród nich spostrzegł owego dukata Łokietkowego. Przez 62 lata opierał się pokusom najzamożniejszych kolekcjonerów, którzy oferowali mu istne fortuny. Dopiero w 1909 roku wymienił dukata na obraz Jana Matejki. Nowym posiadaczem stał się Emeryk Czapski. Podobno nawet na łożu śmierci nie rozstawał się z unikalną monetą. Zmarł zaciskając ją kurczowo w garści.

O istnieniu drugiego egzemplarza dukata Łokietkowego wiadomo tylko

ze starodruków obejmujących spis inwentarza ruchomego Macieja z Miechowa, zwanego Miechowita, który żył w latach 1457—1523. Pośród licznych monet, które zgromadził w swym skarbcu miał też oryginalnego dukata z królewskiej mennicy Władysława Łokietka. Wszelki ślad po tej monecie jednak zaginął.

Jest jeszcze wiadomość o istnieniu trzeciego dukata. Podał ją, wywołując niemałą sensację, znawca przedmiotu Władysław Terlecki. W 1943 roku poproszono go o ocenę zbioru monet

KONRAD TUROWSKI

ZAGADKI

należących do mieszkającego wówczas w Warszawie przy ul. Filtrów — Witolda Wańkowicza. Stwierdził z całą odpowiedzialnością, że wśród kilku-nastu złotych węgierskich dukatów był bezcenny egzemplarz dukata Łokietkowego. Jak podaje, zaklinał na wszystko właściciela, aby nie sprzedawał tej monety aż do zakończenia wojny. Po wyzwoleniu usiłował odnaleźć Witolda Wańkowicza. Niestety, dom przy ul. Filtrów został zburzony a los jego mieszkańców nie znany. Dopiero w 1948 roku Terlecki przypadkowo spotkał w Poznaniu Jurę Wańkowicza, który mu powiedział, że ojciec zmarł w czasie Powstania. Co się stało z dukatem — nie wiedział.

Apetyty na odnalezienie skarbu w jeziorze pozostały niezaspokojone, choć kilkakrotnie pletwonurkowie penetrowali dno jeziora...

POLSKIE PIRAMIDY

W tym samym czasie, gdy nad Nilem wznoszono piramidę Cheopsa to w Wietrychowicach i Sarnowie w powiecie kolskim budowano zmarłym potężne grobowce megalityczne. Ich długość dochodzi do 140 metrów a wysokość jeszcze teraz sięga trzech metrów. Zbudowano je z potężnych głazów o wadze kilku ton. Przeprowadzono eksperyment. Dzieląc na pół głazy średniej wielkości przesunąć załadowano kilka metrów. W jaki sposób 5 tys. lat temu transportowano owe kamienie i układano je jeden na drugim — nie wiadomo. Budowniczości przecież dysponowali co najwyżej łopatami wystruganymi z dębiny bądź łanego twardego drewna. Kola jeszcze wtedy nie znali.

W grobowcach znaleziono szkielety ludzi wcale nie nadzwyczajnego wzrostu, wbrew legendom; że pochowano tu olbrzymy zamieszkujące leśne tereny przed tysiącami lat.

Według opinii naukowców budowniczości „polskich piramid” byli kanibalami. Najpewniej zjadali oni przedstawicieli innych plemion pojmanych w walce. W jednym z grobów znaleziono wyraźnie zmiażdżoną czaszkę, któregoś z nieszczęśników.

Odkrycie licznych szczątków naczyń glinianych oraz fragmentów kości zwierzęcych podsunęło naukowcom myśl, że pochówki łączone były z uczciami.

W jaki sposób idea upamiętniania zmarłych tak potężnymi budowlami przeniknęła w okolice Wietrychowic i Sarnowa od ludów zamieszkujących wschodnie brzegi basenu Morza Śródziemnego? Na to pytanie brak odpowiedzi.

Przegląd niektórych zagadek z przeszłości niech zakończy jeszcze garść ciekawostek z pogranicza poruszonego tematu.

— W nurtach Pilicy w pobliżu Nowego Miasta pewien wędkarz złowił na haczyk żab mamuta...

— W Widoradach koło Wielunia znaleziono nożycki, których wiek określono na 600 lat. Ze względu na cienie ostrza sądzi

się, że służyły gollbrodzie na pobliskim zamku...

— Przy urządzaniu ogródków działkowych w Łodzi przy ul. Świętojańskiej, na lewym brzegu Olechówki, wykopano kubek gliniany. Naprowadził on na trop sadyby, która tu się znajdowała 2,5 tys. lat temu...

— Jeden z mieszkańców Piątku dopiero teraz przekazał do muzeum skarb monet, które znalazł na swoim polu przed 30 laty. Wówczas ukrył go w piecu i zapomniał o znalezisku. Przypomniał sobie o nim przy rozbieraniu pieca, by ustąpić miejsca kuchni gazowej...

— Grzegorz Ludwiczak znalazł w swoim telewizorze „Rubin” monetę z czasów Zygmunta III Wazy. Wypadła po zdjęciu tylnej ścianki odbiornika, który miał jeszcze plomby fabryczne...

— Na zamku w Piotrkowie Trybunalskim, w miejscu gdzie ongiś była otaczająca go fosa, wykopano znaczne ilości rogów turczy i jelenich. Przypuszcza się, że są to pozostałości po królewskich ucztach...

— 10-letni Paweł Kozanecki w Tuliszkowie, pow. Łódź znalazł na polu sześć monet z czasów Władysława Jagielly. Kustosz gabinetu numizmatycznego wyliczył, że monety mogły stanowić żółd któregoś z królewskich rycerzy najemnych...

— Żelazny toporek z XI wieku walał się wśród żelastwa w składnicy złomu we Wrzeszczu. Przekazano go do Muzeum w Gdańsku...

— Kopiając rowy pod fundamenty w Rozprz natrafiono na 19 tyńców, szóstaków i innych monet z mennicy Jana Kazimierza. Naukowcy zamierzają przejrzeć stare dokumenty w nadziei, że uda się ustalić kto za czasów Jana Kazimierza był właścicielem owej posesji i do kogo należał odkryty skarb...

— W Brześciu Kujawskim odkopano szkielety osmiu krów pochowanych parami, łbami zwróconymi ku sobie. Obok były koliste zawieszki z płaskiej kości, ozdobione przy brzegach ornamentami, którymi najpewniej je wyróżniano.

Określono, że grób pochodził sprzed ok. 4 tys. lat. Jego odkrycie dało podstawę do snucia hipotezy, że istniał wówczas na naszych terenach kult świąt krów...

— Mieszkańcy Przywozia nad Wartą od niepamiętnych czasów nazywali „mogilą” położony za wsią wzgórek. Zaintrygowano tu archeologów, którzy postanowili zbadać wnętrze owego kurhanu. Nie zawiedli się. Kopiec rzeczywiście był miejscem pochówku kogoś znacznego w II wieku p.n.e. Zachowały się m. in. szczątki ozdób ze złota...

— Chłopczy bawiący się w parku im. Hibnera w Łodzi wygrzebiali zardzewiały miecz. Zawieźli go do Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego. Tu jednak dowiedzieli się, że miecz nie przedstawia żadnej wartości ponieważ jest falsyfikatem...

— Mgr Ewa N. przebywając w USA musiała zapłacić 500 dolarów za udział w badaniach wykopaliskowych prowadzonych w Workman City i Sheeprock przez Uniwersytet Stanu Pensylwania. Łódzianka przywoziła jednak oryginalne grofy strzał indiańskich sprzed kilku tys. lat...

— W Przeczycach koło Zawiercia archeologowie odkryli cmentarzysko z epoki brązu. Przekonali się, że było ono już wcześniej splądrowane. Zachowały się tylko ślady patyny po zrabowanych ozdobach...

IMPRESJA PIERWSZA



JACEK BROMSKI — STORY

(odcinek trzeci)



Krasnoludki, jako naród subordynowany (choć też prawi Polacy), poruszyli się w wojskowym ordynku.

(PATRZ: „UMUNDUROWANIE I OBYCZAJ KRASNO-LUDKÓW” M.O.N. W-WA 1952



Wies URZECZE w powiecie łowickim miała dzielną straż ogniową, ale nie posiadała remizy, co osłabiało w tych zuchach bojowego ducha i czego na dłuższą metę nie można było tolerować. Jednakże gdy po kolei upadło dziesięć komitetów budowy (przestali je w końcu liczyć), a sprawa nie ruszyła z miejsca, wies opanował nastrój zwątpienia i małowierności. Jeszcze tylko z okazji dożynek młodzież w przyspiewkach wydrwiwała miejscowego sołtysa za tę niechęć do działania zbiorowości Urzecz, nikt wszakże nie brał tych przekpinek na serio. Nikt, prócz EDWARDA STACHURSKIEGO, który miał nieszczęście obok urzędu sołtysa piastować stanowisko komendanta straży oraz szereg innych społecznych funkcji. Może dwadzieścia, może trzydzieści, tego się już nie da ustalić, bo Stachurski zasiadał wszędzie z wyjątkiem Koła Gospodyń Wiejskich. Te przekpinki bardzo go bolały, a przy tym nie jest dobrze dla obyczajów, gdy młodzież kpi sobie w żywe oczy z władzy, gdy nie ma dla niej żadnych autorytetów.

Ci, co znali Stachurskiego od dzieciństwa i pamiętali go jako nieśmiałego chłopca, któremu rodzice musieli szukać dziewczyny, ze zdumieniem patrzyli na nagłą przemianę ofermę. Małżeństwo odnowiło go i choć w stadzie szybko wyłuskał, zapuścił sobie włosy i krótkie baczki, które dodawały mu zawiadackiego wyglądu. Ten małorolny chłop na czterech hektarach stał się nieoczekiwanie dla wszystkich mężem opatrznościowym wsi, wyrósł na duchowego przywódcę. Nie pchał się do władzy, ale wybierano go i nie odmawiał, aby nie szkodzić swoim dzieciom, co najwyżej uchylił się od jakiegos zebrań, jeśli czuł, że powierza mu jeszcze jedną funkcję. Podczas wyborów sołtysa położył się do łóżka, ale ludzie przyszlizli i wyciągnęli go z pościeli, a kiedy wrócił do ciepłych jeszcze betów był już najwyższą władzą Urzecz. I jako sołtys postanowił przepędzić na zawsze ze wsi ducha zwątpienia, egzorcyzmować go i przeświecić tak skutecznie, aby o tym mówiły przyszłe pokolenia.

Po dożynkach zwołał więc zebranie i w obecności najznakomitszych gospodarzy obwieścił, że już pora wybudować remizę, sprawnie powołał spośród nich społeczny komitet zostając jego przewodniczącym i zabrał się do działania. Uchwalono dobrowolne opodatkowanie gromady na ten cel, po tysiąc złotych od gospodarstwa, przeliczono cegły, którą wies posiadała po poprzednich komitetach, drewno i wtałajmniczonno we wszystko powiat. Stachurski nie miał tam znajomości, gdzie sołtysowi wypada zabiegać o popularność na tak wysokim szczeblu, ale przełamał wewnętrzne opory i pojechał do Łowicza, a kiedy wrócił, mógł stwierdzić, że sprawie został nadany bieg. Szybko uczył się nowej dla siebie roli egzorcysty, a że nauka kosztuje, były pewne wydatki. Skarbnik Wojda postanowił wystąpić z komitetu, bo nie chciał zrozumieć swego przewodniczącego, ale inni zgodzili się ze Stachurskim, że jak gdzieś jedzie, to musi stracić, gdyż tak jest zawsze, kiedy się chce coś załatwić.

A załatwić trzeba było wiele. Wies nie posiadała działki budowlanej, nie posiadała dostatecznej ilości środków finansowych ani materiałów, nie posiadała fachowców, którzy mogliby pokierować pracami, nie posiadała wreszcie poparcia na wyższym szczeblu. I o to poparcie począł teraz Stachurski niestrudzenie zabiegać.

Przed wszystkim trzeba było sobie zaskarbić przyjaźń Mieczysława Koteckiego, przewodniczącego Powiatowej Komisji Planowania Gospodarczego w Łowiczu. Na szczęście dla Stachurskiego urzędnik ten nie zaliczał się do zimnych biurokratów, którzy wszystko widzą przez papierki. Jest bowiem taka Uchwała Rady Ministrów z 16 września 1966 roku, która precyzuje warunki, na jakich można rozpocząć budowę jakiegokolwiek obiektu w czynnie społecznym i ta uchwała stwierdza, że rozpoczynając inwestycję muszą dysponować przynajmniej połową środków przewidzianych kosztorysem, a tego warunku Urzecz nie mogło spełnić.

Komitet posiadał trochę cegły i wapna wartości 41 tysięcy złotych, dysponował prócz tego sumą 75 tysięcy złotych z czynszu za wydzierżawienie sklepu oraz miał na rachunku bankowym straży pożarnej około dziesięć tysięcy złotych. Kosztorys sporządzony w oparciu o typowy projekt remizy ze świetlicą (postanowiono na zebra-

niu w szkole wybudować przy okazji świetlicę) opiewał na 608 tysięcy złotych. Do połowy środków kosztorysowych brakowało więc komitetowi spo-

dzony z aresztu, gdzie przebywał od 19 stycznia 1973 r. Długa izolacja zrobiła swoje: dzielny, przedsiębiorczy sołtys łatwo wpadał w depresję, często płacze, chętnie rozczuła się nad swoim losem. Jest zresztą obiektywnie rzecz biorąc w trudniejszej sytuacji niż jego koledzy z ławy oskarżonych, którzy krócej smakowali więzienny chleb i przed sądem, po zakończeniu śledztwa, odpowiadają z wolnej stopy. Tym powiatowym inteligentom jakby wstyd za współnika, który wyraża się socystym, wiejskim językiem, tym bardziej że, chociaż stara się ich odciążyć, fakty i tak są przeciwko nim.

Mówi świadek Józef Łuczywek, członek społecznego komitetu budowy remizy:



KONRAD FREJDLACH

EGZORCYSTA

ro pieniędzy, a mimo to nie realizowano uchwały zebrania wiejskiego o dobrowolnym opodatkowaniu i w ten sposób wprowadzenie budowy do planu było bardzo wątpliwe.

Ale był przecież Kotecki. Przy odbiorze założeń na budowę remizy i świetlicy delegacja chłopców z Urzecz zdecydowała więc zapłacić 500 złotych więcej niż wynosił rachunek i tę różnicę przeznaczyć na pocztunek. Stachurski poszedł do restauracji, przyniósł stamtąd jarząbiak i kurczaki na zakąskę i całe biuro Koteckiego łącznie z pracującymi tam paniami wypilo za pomyślność dzielnych ludzi z Urzecz. Wprawdzie Kotecki sprzeciwiał się rozpoczęciu budowy w tych warunkach, ale obecny w jego biurze, nie żyjący już przewodniczący GRN — W. zareczył, że wieś da wszystko, czego trzeba i opór urzędnika ześlazł. Już było dobrze, już się wszyscy pobratali. Tym bardziej że Urzecz miało już swój precedens, kiedy na cudzym gruncie pocztów wznosić rozlewnie mleka. Stoi do dziś i spełnia swoje funkcje, a prawowity właściciel działki do dziś płaci za ten skrawek podatek gruntowy. Umyślono sobie, że z tą remizą będzie podobnie.

Tak więc budowa ruszyła jeszcze przed wydaniem prawomocnego zezwolenia, kierował nią formalnie architekt powiatowy, który dojeżdżał do Urzecz, ale kiedy inżyniera przeniesiono w inne strony, chłopci nie załamali rąk.

— Wspólnie ze wsią — powie Stachurski w sądzie — poprawiliśmy fundament na zdrowy, chłopski rozum, bo na planach nikt się nie rozumiał, murarz pierwszy raz budował taki okazały budynek.

Nie, nie ma pomyłki. Stachurskiego, bohatera licznych, pozytywnych reportażów prasowych (potężną enuncjację ilustrowaną zdjęciami opublikował tygodnik „Zarzewie”) poznałem właśnie w sądzie, do którego został doprowa-

— Jeszcze przed rozpoczęciem budowy w moim mieszkaniu odbyło się przyjęcie, którego koszty pokrył Stachurski. Obecni byli członkowie komitetu budowy i przedstawiciele straży pożarnej, jedzono wędliny, popijano wódkę i herbatę. Sporo zaproszonych gości z powiatu nie przybyło, ale i tak koszty tego poczęstunku wyniosły parę tysięcy złotych.

Ten styl prowadzenia budowy stał się zasadą, każdy etap wyznaczało przyjęcie, poczęstunek czy darowizna. — Pewnego razu — kontynuuje świadek — wspólnie ze Stachurskim taksówką nr 3 ze Zdun udaliśmy się do zagrody Materka, Stachurski zakupił tam osiem indorów. Potem pojechalismy do Strugiennic po miód i z całym tym ładunkiem pojechalismy pod Powiatową Komisję Planowania Gospodarczego w Łowiczu. Koteckiego nie było, bo przyjechalismy późno, udaliśmy się więc tą samą taksówką do Łodzi. Jeździliśmy po urzędach, załatwiliśmy nawet na dworzec PKS, ale Koteckiego nigdzie nie znaleźliśmy.

Stachurski, mimo tych przeszkód, nie załamał rąk. Z jego własnych wyjaśnień, z zeznań świadków wyłania się swoisty sposób postępowania, który w konsekwencji zawiódł sołtysa z Urzecz na ławę oskarżonych. Wróćmy do sprawy indorów, która dobrze ilustruje te metody, chociaż w całej historii stanowi drobny tylko epizod.

Oto nie znalazłszy Koteckiego w Łodzi Stachurski każe taksówce jechać pod gmach Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej. Po chwili wraca do samochodu z jakimś nieznajomym, który każe się wsiąść pod wskazany przez niego adres. Stara, czynszowa kamienica, na podwórku rząd komórek, w których lokatorzy trzymają zapasy na zimę. Tutaj wydławują część drobiu i sporą porcję miodu. Indory są żywe, a nieznajomy człowiek delikatnie prosi Stachurskiego, aby uciął łeb choć jednemu. Ale Stachurski, dobroduszny z natury, brzydził się widoku

krwi, nie potrafiłby skrzywdzić młuchy.

— Ja to zrobię — oświadcza Józef Łuczywek, który towarzyszy mu w podróży. Czy zadziała mu ręka, czy też indor okazał się nazbyt żywoty, dość że Łuczywek opryskał sobie krawie skrzany płaszcz.

Potem wszyscy jadą do restauracji, gdzie przylączy się do nich jeszcze jeden nieznajomy, piją wódkę i koniaki, taksówka ze Zdun wciąż czeka pod lokalem, Stachurski wróci nią do Urzecz. Z pieniędzy społecznego komitetu budowy ureguluje rachunek i za nią i za poczęstunek. Znow parę tysięcy.

Na przyjęciu w domu Białeckiego obecny był Kotecki, zaproszeni goście z województwa, powiatu, gromady. Do powiatu jeździła taksówka, bo goście nie mieli własnego środka transportu, potem ta taksówka zwoziła radnych z gromady i czekała, aż zaproszeni zjedzą zabitego z tej okazji cielaka, żeby ich odwieźć do domów. Należność regulował jak zawsze Stachurski. Kupował dla różnych ludzi, podnosząc pieniądze z konta społecznego komitetu budowy remizy, porzeczki, cebule, ryby, ogórki, jabłka. Płacił także za „bady” w restauracjach. Te „bady” stanowiły pozycję dość tajemniczą, sugerowano, że to szparagi, o które nie jest znow tak łatwo w powiatowych restauracjach. Wreszcie, ku zadowoleniu wszystkich wyjaśniło się, że Stachurski ma na myśli jugosłowiański winiak „Badel”, który zmienił swą nazwę na brzmiały swojsko badył.

Czy miał świadomość, że to, co robi, jest, delikatnie mówiąc, na bakier z przepisami prawa? Nie, takiej świadomości Stachurski nie miał. Owszem, powiedziano mu, że powinien wystrzegać się „zmory”, „Zmora” to urząd finansowy. Dlatego komitet zatrudnił przy budowie murarza na rachunku chłopca, żeby uniknąć niepotrzebnych kontaktów ze „zmorą”. A murarz nie bał się niczego, bo miał sześcioro dzieci, więc wiedział, że mu nic nie zrobią. Nie bał się niczego i nikogo, także Stachurskiego, jeśli miał fantazję, zniknął z budowy, bo wiedział, że go i tak nie wyrzucą, nie mieli nikogo na jego miejsce. Żeby wyciągnąć zaliczkę (komitet wiecznie zalegał mu z pensją i jeszcze dziś winny jest blisko 15 tysięcy złotych) murarz wyciągnął kiedyś nóż grożąc nim Stachurskiemu. Potem, mszcząc się wpuścił do kojca z drobiem swego psa, który wyduślił 150 kurczaków (psa tego Stachurski potem zabił).

Nie, świadomości, że działa bezprawnie, Stachurski nie miał.

— Ja sobie nie przywłaszczylem ani grosza, ja dołożyłem jeszcze do budowy ze swoich pieniędzy.

Mówiąc to, krzyczy, chociaż przed sądem rzadko podnosi głos. I dziwi się, że sąd tak szczegółowo wypytuje go o te przyjęcia i poczęstunki.

— Przyjęcie musi być jak wesele — perswaduje. — Muszą być torty, kurczaki. To jest tradycja wiejska, ja nie mogłem temu zapobiec. Inaczej by budowa nie szła.

I znow krzyczy:

— Nie było w mojej mocy jako sołtysa sprzeciwić się woli ludu.

A społeczeństwo wsi Urzecz, z wyjątkiem skarbnika Wojdy, który rzekł się swojej funkcji po trzech dniach, rozgrzeszało Stachurskiego z wydatków, nawet gdy były jakieś straty. A straty musiały być. Przyjęcie wydane na cześć inżyniera z okazji pomiarów ziemni kosztowało blisko 10 tys. złotych. Przy okazji położenia kamienia węgielnego kolejny poczęstunek z funduszu gromadzkiego. Rachunek — około 14 tysięcy złotych. Przyjechała z przyjacielską wizytą straż pożarna z Komarnic. Drobną przekąską — 1.000 złotych. Dwukrotnie z okazji 1 Maja trzeba było podjąć strażaków Urzecz, 3 tysiące złotych. Wreszcie „wiankowe”, bez wiankowego nie można przecież prowadzić budowy. „Wianek” kosztował społeczny komitet 5 tysięcy złotych.

I wszystko dobrze. Stachurski otrzymał pochwały, nagrody, wyróżnienia, dostał się na łamy prasy, która przedstawiła go jako zasłużonego spo-

lecznika. Człowiek, który potrafił udźwignąć tyle funkcji, który nie doje, nie dośpi i pilnuje budowy, to może pobudzić wyobraźnię dziennikarza. Człowiek o nieograniczonej opinii wychwalany w powiecie i województwie. W jego ustach nigdy nie znalazło się zdanie: to niemożliwe, tego nie można załatwić. Potrzebowali pustaków alfa. Trzeba będzie stracić dwa i pół tysiąca — ocenił krótko sołtys i zdobył pustaki. Chcieli mieć do swej nowej remizy samochód z działkiem wodnym.

— Urzecz powinno sobie to wybrać z głowy — grzmiał Antoni Michowski z powiatowej komendy straży. A potem, kiedy za sprawę wziął się Stachurski, musieli poszerzać wjazd do remizy, żeby najnowszy model wozu bojowego miał swobodę manewru.

Ale czuł chyba, że coś nie gra. Zrzekł się swej funkcji przed komendantem straży i przed społeczeństwem. Uważał, że to nadmiar skromności, kokieteria. Nie przyjął dymisji. Bomba wybuchła dopiero wówczas, gdy Stachurski publicznie oświadczył, że brakuje mu blisko 200 tysięcy złotych. Wówczas to wszyscy zaczęli się głowić, jak by tę budowę rozliczyć, żeby nie wykaże żadnych strat. I uchwalono dla Stachurskiego wsteczne pensję w wysokości 2500 złotych miesięcznie. W ten sposób znaleziono pokrycie na 57 tysięcy złotych. Antoni Michowski, który do niedawna wychwalał Stachurskiego za inicjatywę, teraz nie mógł znaleźć słów potępienia. Wyznał mu areszt domowy. Stachurski, karny strażak, wziął to dośownie i nie wychodził z zagrody, aż mu zgniły kartofle. Tylko raz zlał słowo wioząc na targ prosiaki, ale napisał się za to tyle nieprzyjemności, że więcej swego honoru na szwank nie narażał.

W styczniu 1973 roku wkroczyła do akcji prokuratura. Podczas rewizji zakwestionowano u Stachurskiego 33 rachunki za przejazdy taksówkami na ogólną kwotę 10.883 złotych oraz 68 rachunków z restauracji na ogólną kwotę 13.155 złotych. Zakwestionowano także 6 rachunków, które na pierwszy rzut oka robiły wrażenie fikcyjnych. Opiewały łącznie na kwotę 110.236 zł. Obok fikcyjnej listy płac na nazwisko Stachurskiego znalazł się tam rachunek wystawiony na jego ojca, Jana, należność (26.320 zł) za pobudowanie wzniesionej w czynie społecznym szopy. W stan oskarżenia postawiono także Mieczysława Koteckiego, Antoniego Michowskiego oraz Jerzego Mazeranta, kierownika służby kwatermistrzowskiej. Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej zarzucając im brak nadzoru i przyjmowanie korzyści majątkowej w postaci poczęstunków alkoholem i artykułami żywnościowymi (ten ostatni zarzut nie dotyczył Michowskiego, którego sąd uwinął także od pierwszego zarzutów).

Sprawa ciągnęła się długo, dwa lata. W międzyczasie Stachurski przebywał na obserwacji psychiatrycznej, gdyż na krótko przed aresztowaniem uległ wypadkowi spadając pod samochód i od tej pory ma kłopoty z pamięcią. W zakładzie karnym sporządził długą listę wydatków na budowie, gdyż przejął dokumentację obejmującą szereg luźnych kwitów. Także dziennik budowy stanowił szereg luźnych kartek w szkolnym brulionie. Teraz przed sądem próbuje uściślić poszczególne pozycje swych wyliczeń, kwestionując obliczenia biegłego. Parokrotnie wybuchła:

— Ja nie jestem wariatem, dlatego zamknęto mnie w szpitalu?

Biegli psychiatrzy stwierdzili u oskarżonego „cechy pourazowego zespołu psychoorganicznego”.

Długi pobyt w więzieniu zrobił swoje, Stachurski jest rozrzucony. Jest także na ławie oskarżonych bardziej samotny niż jego współnicy, którzy to najgorsze, areszt, mają już za sobą. Nie może zrozumieć, dlaczego sąd tu znalazł. Przecież chciał dobrze, chciał wydzwignąć swoją wieś z marazmu.

Ale nieprawidłowe stosunki we wsi Urzecz i w powiecie łowickim egzorcyzmować musiał prokurator.

JACEK BROMSKI — STORY

(odcinek czwarty)



„SREBRNA ŁÓDKA” dla Teatru im. S. Jaracza „SREBRNY PIERŚCIEŃ” dla Ewy MIROWSKIEJ

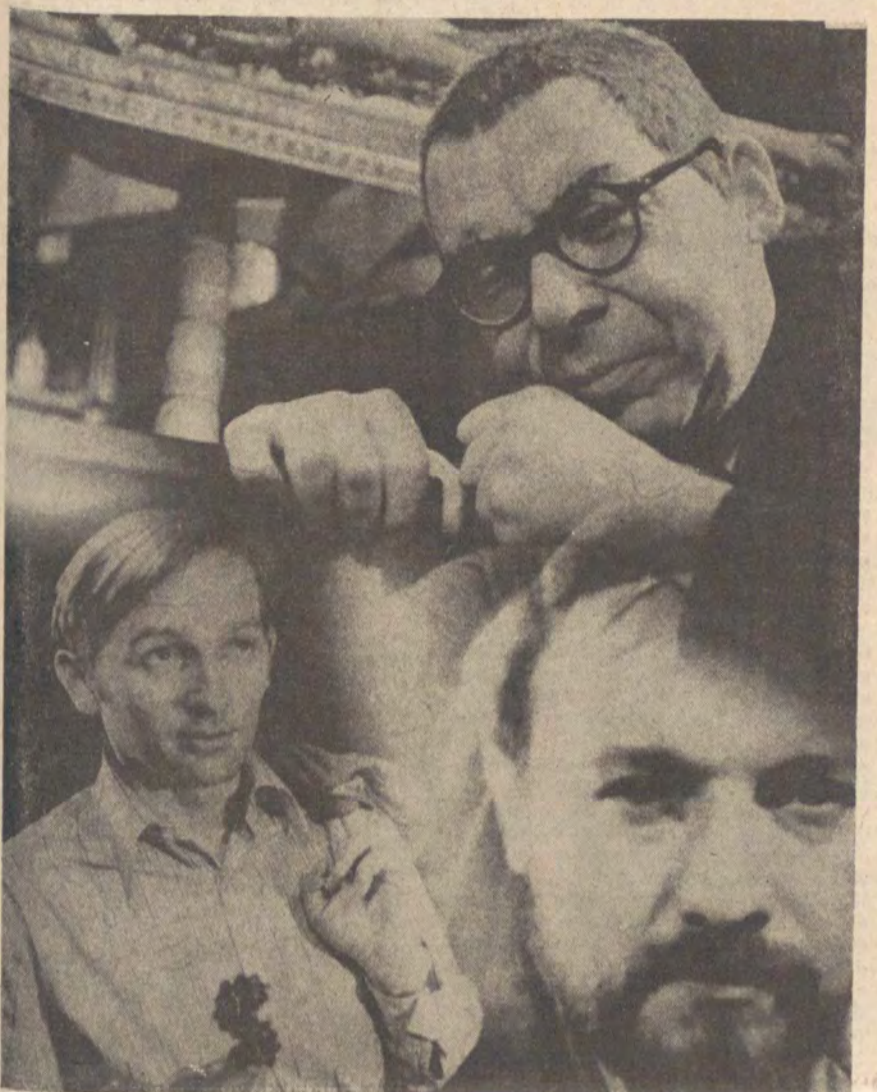


Foto A. Brustman

Już po raz dziesiąty została przyznana doroczna nagroda Towarzystwa Przyjaciół Łodzi za najwartościowszy artystycznie i ideowo spektakl zrealizowany na scenach łódzkich między 1 marca 1974 roku a 1 marca 1975 roku. Jury pod przewodnictwem Dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu M. Łodzi — Włodzimierza Pospiecha przyznało Srebrną Łódkę Teatrowi im. S. Jaracza za przedstawienie „Popiołu i diamentu” Jerzego Andrzejewskiego w adaptacji i reżyserii Jana Maciejewskiego.

Jury przyznało po raz czwarty nagrodę „Srebrnego Pierścienia” dla aktora łódzkiego za wybitną kreację w minionym sezonie artystycznym ufundowaną przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu M. Łodzi i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich — Oddział w Łodzi. Nagrodę otrzymała aktorka Teatru im. S. Jaracza EWA MIROWSKA za rolę tytułową w spektaklu „Stara kobieta wysiaduje” Tadeusza Różewicza.

Jury w dyskusji wyróżniło przedstawienie Teatru im. S. Jaracza pt. „Dom” D. Storey’a w reżyserii Jana Maciejewskiego oraz wybitne kreacje aktorskie Alicji Zomer i Jerzego Przybylskiego.

„SPRAWA DANTONA” PO RAZ PIĄTY

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

I tym pesymistycznym akcentem kończy Przybyszewski swą sztukę. Czy rzeczywiście pesymistycznym? Czy doprowadzenie do świadomości ludzkiej skomplikowanego kłębówiska konfliktów, jakie towarzyszą rodzeniu się nowego życia, to pesymizm?

Inscenizacja Andrzeja Wajdy w Teatrze Powszechnym zmierza do maksymalnego uwspółcześnienia „Sprawy Dantona”. Nie przez kostium, który ma odnieść do stylu epoki. Głównym posunięciem reżysera mającym mówić publiczności wyraźnie, że sprawa Dantona nie rozgrywa się we Francji w płaszczyźnie historycznej, oddalonej od nas bezpiecznie o 180 lat, ale tu i teraz, w nas samych — była rezygnacja z tradycyjnego podziału na scenę i widownię. Wajda powściąga przy tym swą wyobraźnię malarską i wlicza przedstawienie w prostokąt otoczony z czterech stron przez krzesła dla publiczności. Akcentami scenograficznymi są tylko udrapowane trójkolorowe flagi i rozety, dla każdej sceny wnosi się i wynosi niezbędne meble i rekwizyty (nie bez straty dla tempa spektaklu).

Uformowanie płaszczyzny do grania w tzw. scenowidowni ma w przypadku inscenizacji Wajdy swoje dobre i złe skutki. To prawda, że podczas sceny w Trybunale Rewolucyjnym publiczność teatralna staje się jak gdyby świadkiem uczestniczącym w historycznych wydarzeniach, ludem Paryża, osądzającym oskarżonych. Słusznie też jacyś rozsadzenie na balkonie między widzami aktorów, którzy okrzykami komentują obrady Konwentu czy rozprawę przed Trybunałem. Na to zgoda! Ale konwencja przyjęta przez Wajdę obowiązuje podczas całej sztuki i w jej kameralnych partiach po prostu nie sprawdza się. Szczególnie dotkliwie daje się to odczuć podczas dramatycznej rozmowy dwóch wodzów, która rozgrywa się w pustej przestrzeni. Marzyłoby się obejrzeć ten epizod rozgrywany na zwykłej, tradycyjnej scenie, która podniosłaby jego rangę i zwielokrotniła ekspresję.

Odnosi się także wrażenie, że mocniej zabrzmiaby przy tym przyjęta przez Wojciecha Pszoniaka interpretacja roli Robespierre’a. Jego umiar i powściągliwość (znany żywiołowy temperament tego aktora) budzić musi podziw i uznanie, lecz powoduje, że Robespierre jest chwilami zanadto wyciszony. Bronisław Pawlik zagrał Danton’a z wielkim talentem, ale jednostronnie, wydobywając raczej tylko małość i śmieszność tej postaci, a nie uzasadniając popularności tego przywódcy wśród mas ludowych.

Stanisława Przybyszewskiego: „Sprawa Dantona”; reżyseria — Andrzej Wajda; scenografia — A. Wajda i Krystyna Zachwatowicz; kostiumy — K. Zachwatowicz; Teatr Powszechny w Warszawie.



Foto A. Brustman

EWA MIROWSKA

EWA MIROWSKA, od roku 1962, aktorka Teatru im. Stefana Jaracza, związała się z Łodzią tuż po ukończeniu krakowskiej PWST. Od początku wierna najstarszemu łódzkiemu teatrowi, zadebiutowała jako Salomea w scenicznej adaptacji „Wiernej rzeki” Stefana Żeromskiego.

Wychowanka Władysława Woźnika, znakomitego aktora i wielkiego pedagoga, Ewa Mirowska w sześćdziesięciu z górą latach stworzyła pewien określony styl interpretacyjny. Wiąże on się silnie z osobowością aktorki, z jej intymnym teatrem jako wykładnikiem estetycznym.

„Aktorstwo jest jednak sztuką odtwórczą” — mówi Ewa Mirowska. Stwierdzenie to odnieść można przede wszystkim do takich propozycji aktorskich jak: Viola w „Wieczorze Trzech Króli” W. Szekspira, Natalia w sztuce M. Gorkiego „Wassa Żeleznowa”, Grusza w „Kaukaskim kole kredowym”, B. Brechta, Marietta w „Molierze” M. Bułhakowa czy Antygona w „Antygonie” Sofoklesa. Za rolę w sztuce M. Gorkiego oraz za rolę Violi, Ewa Mirowska została nagrodzona na Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w Katowicach (1964) i na Telewizyjnym Festiwalu Teatrów Dramatycznych (1965). Role w sztukach „Otwartych” Tadeusza Różewicza i Jean Geneta, to prawdziwe „tworzenie dzieła na nowo”. Ewa Mirowska rozgranicza te dwie zgoła sprzeczne postawy i jednocześnie uzewnętrznia je w praktyce, narzucając sobie dyscyplinę odtwórcy-wirtuoza, to znów pełnoprawnego i pełnowartościowego twórcy, jak np. w roli Starej kobiety w sztuce T. Różewicza „Stara kobieta wysiaduje” lub w roli Irmy w „Balkonie” J. Geneta.

Ewa Mirowska jest także wykładowcą w PWST w Łodzi, pedagogiem, który sam poszukując, młodemu „pomaga zrozumieć”.

Foto A. Brustman

KAE

„Pomimo iż nie było konieczne z punktu widzenia zasadniczych badań Komisji stwierdzenie, który strzał ugodził gubernatora Connally'ego, bardzo przekonującym dowodem jest wykazanie przez ekspertów, iż ta sama kula, która przebiła gardło prezydenta, spowodowała także rany gubernatora Connally'ego.”

(Z raportu Komisji Warren)

Przytoczone zdanie stało się koronnym argumentem komisji dochodzeniowej na rzecz twierdzenia, iż jedna kula przebiła ciało prezydenta i gubernatora, co miało wskazywać na to, że jedynym człowiekiem, który strzelał do samochodu Kennedy'ego, mógł być tylko Oswald. Jak długo więc chce się je utrzymać w mocy, trzeba dowodzić, że kula, która trafiła Connally'ego najpierw ugodziła prezydenta. A jednak twierdzenie to pozostaje w całkowitej sprzeczności z faktami. Dlaczego? Czy w czasie zamachu wystrzelono więcej niż trzy pociski, o których mówi raport komisji? Właśnie. Na podstawie wielu niezbitych dowodów można dziś z całą pewnością stwierdzić, że inna kula spowodowała ranę w gardle prezydenta, i inne rany, jakie poniósł gubernator Connally. Prócz nich były wystrzelone co najmniej jeszcze dwa pociski — jeden, który ugodził prezydenta w głowę, i drugi, który chybił celu i trafił w chodnik na południowej stronie Elm Street. Chciałbym tu z naciskiem podkreślić słowo „co najmniej”, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa (raporty FBI) rana na plecach prezydenta pochodziła od piątej kuli, tym razem wystrzelonej z tyłu. (Pocisku tego nie znaleziono, choć według opinii chirurgów nie opuścił on ciała).

OPINIA GUBERNATORA

Abstrahując na razie od kwestii, ile strzałów padło w czasie tych tragicznych sześciu sekund, zajmijmy się raczej analizą hipotezy komisji, iż kula, która ugodziła Connally'ego najpierw trafiła Kennedy'ego. W tym miejscu interesujące będzie przytoczyć wypowiedź samego gubernatora, iż jest przekonany, że kula, która dosięgnęła prezydenta, nie była tą, która trafiła jego. Oświadczył on komisji:

„Jest nie do pomyślenia, abym mógł zostać trafiony pierwszą kulą”.

Następnie powiedział, że limuzyna skręciła w Elm Street i przejechała około „czterdziestu pięciu metrów, może sześćdziesięciu metrów... gdy usłyszałem coś, jak gdyby odgłos wystrzału. Obróciłem się przez prawe ramię i nie zobaczyłem niczego niezwykłego, poza ludźmi stojącymi w tłumie, lecz nie objąłem prezydenta

nawet kątem oka. Byłem zainteresowany co się dzieje, gdyż usłyszałem strzał, który zidentyfikowałem jako karabinowy i natychmiast, gdy tylko ta myśl dotarła do mojej świadomości, pomyślałem, że była to chyba próba zamachu.”

Ponieważ nie udało mu się spojrzeć na prezydenta, gubernator powiedział: „obróciłem się przez lewe ramię w kierunku przedniego siedzenia, kiedy poczułem jakby coś uderzyło mnie z tyłu. Natychmiast zdałem sobie sprawę, iż jeden, dwóch, trzech a może więcej ludzi strzela z karabinu automatycznego. Tak mi się właśnie wydawało ze względu na szybkość, z jaką strzały nastąpiły po sobie”.

A oto fragment zeznania złożonego przez Connally'ego:

Pytanie: Według pana, gubernatorze Connally, która z kul spowodowała ranę w pańskiej klatce piersiowej?

Gub. Connally: Druga.

Pytanie: Czym uzasadniłby pan swoje stwierdzenie?

Gub. Connally: Otóż moim zdaniem jest całkowicie niemożliwe, aby to mogła być pierwsza kula, gdyż wyraźnie słyszałem odgłos wystrzału. Ja nie wiem o przedkości tej osobliwej kuli, lecz powszechnie wiadomo, iż przedkość kuli wystrzelonej z karabinu jest większa od przedkości dzwiku i kiedy usłyszałem odgłos pierwszego wystrzału, ta kula osiągnęła już punkt, w którym znajdowałem się tuż po jej wystrzeleniu, a więc po usłyszeniu strzału miałem jeszcze czas, aby obrócić się przez prawe ramię ku tyłowi i dopiero, gdy zacząłem się obracać ku lewemu ramieniu, poczułem uderzenie w plecy.

Interesujące oświadczenie złożyła również żona gubernatora, siedząca w samochodzie z jego lewej strony przed Jacqueline Kennedy. Powiedziała ona komisji, iż w momencie, gdy usłyszała pierwszy strzał, obróciła się w prawo i spojrzała na prezydenta. Zobaczyła, iż prezydent został trafiony, jego twarz straciła wyraz, oboma rękoma chwycił się za gardło i osunął się gwałtownie na siedzenie limuzyny, zanim jeszcze padł drugi strzał, który ugodził jej męża. Komisja próbowała to oświadczenie wyjaśnić następująco:

„Jeśli ta sama ugodziła zarówno prezydenta, jak i gubernatora, jest całkowicie możliwe, że ona (pani Connally) widziała ruchy prezydenta w tym samym czasie, gdy usłyszała dru-

gi wystrzał. Dlatego też jej zeznanie nie wyklucza ewentualności, iż pierwszy strzał chybił”.

OPINIA KOMISJI

Powyższa wersja, jaką zaprezentował raport komisji, stoi jednak w całkowitej sprzeczności z zeznaniem pani Connally, gdyż absolutnie wyklucza wspomnianą ewentualność, iż pierwszy strzał chybił, bowiem pani

Ale i tu występuje sprzeczność tak w stosunku do ekspertyz lekarskich, jak i poprzednich ustaleń komisji. O odchyleniu — zgodnie z oświadczeniem dra Shaw, kierownika oddziału chirurgii klatki piersiowej w Parkland Hospital — pod wpływem trafienia kuli w żebro, praktycznie nie mogło być mowy. Byłoby ono bowiem bardzo małe. Natomiast o odchyleniu się gubernatora do tyłu raport pisze na str. 107, zaś na 105 stwierdza, że:

ANDRZEJ BLAJER

MAGICZNA KULA

„Connally siedział wyprostowany, gdyż przestrzeń między siedzeniami samochodu uniemożliwiała mu swobodne wyprostowanie nóg”.

SPRZECZNOŚCI

Wówczas komisja oświadczyła, że kąty wlotu w obu ciałach nie musiały być konieczne takie same, aby kula przebiła ciała obu ofiar. Ponieważ kuli, która rzekomo wyszła z gardła, nie znaleziono zarówno w samochodzie jak i wśród współpasażerów, wyciągnięto ostateczny wniosek, że „prawdopodobnie” ugodziła Connally'ego. Mówi o tym następujący fragment raportu:

„Kula, która trafiła prezydenta Kennedy'ego w bark i wyszła przez gardło, z całą pewnością nie mogła zagiąć w samochodzie ani wśród jego pasażerów. Ponieważ nie ugodziła samochodu (agent FBI), Frazier oświadczył, że prawdopodobnie trafiła w gubernatora Connally'ego”.

W tym miejscu należałoby to stwierdzenie skonfrontować z oryginalnym oświadczeniem Roberta Fraziera. Powiedział on mianowicie: „... Mogę jedynie oprzeć swoją opinię na tym, co widziałem oraz na moim własnym doświadczeniu. Otóż kula mogła ugodzić gubernatora, jeżeli zboczyłaby z toru w ciele prezydenta, ale mogło się zdarzyć, iż znalazł się on w pewnej pozycji, która utworzyłaby taki kąt, że kula mogła wylecieć z samochodu”.

Tak więc sprawa stała się jasna. Komisja posłużyła się nie udowodnionym twierdzeniem, że kula, która ugodziła prezydenta, nadleciała z tyłu — jako główną przesłankę tego wykania, że „prawdopodobnie” trafiła również gubernatora Connally'ego. W ten sposób, pierwotna hipoteza stała się konkluzją i zarazem główną przesłanką, z której można było później wysnuwać dalsze przypuszczenia. Jeżeli kula, która spowodowała ranę w gardle prezydenta — określoną przez lekarzy jako wlotowa — była wystrzelona z pagórka przy wiadukcie lub innego z ważnych punktów tego rejonu, to mogła wylecieć przez tył samochodu. W takim wypadku badanie samochodu lub jego pasażerów nie na wiele by się zdało dla zlokalizowania miejsca jej upadku. Jeśli więc spekulacje komisji uznać za słuszną, co jest zresztą wysoce nieprawdopodobne, to czy kula, o którą chodzi, byłaby dowodem rzeczowym nr 399?

Pocisk, który rzekomo przebił dwa ciała, był zupełnie niezdeformowany nie splaszczony na końcu. Kiedy zapytano dra Humesa, czy kula nr 399 mogła spowodować ranę w prawym nadgarstku gubernatora, odpowiedział: „Myślę, że było to zupełnie niemożliwe” i dodał, że jeszcze w Parkland stwierdzono obecność w ranie wielu małych odprysków metalu.

Oglądając Commission Exhibit 399, Humes oświadczył, że kula była „prawie nienaruszona; jej płaszcz wydaje się być nienaruszony i nie mogę zro-

zumieć, jak mogły jej fragmenty pozostać w nadgarstku”.

Z kolei na pytanie, czy kula ta mogła spowodować ranę w udzie Connally'ego Humes odpowiedział:

„Myślę, że jest to wykluczone”. Powołał się przy tym na rentgenogramy, które wskazywały obecność fragmentów metalu w kości uda, które nawet później nie zostały usunięte.

„Nie mogę sobie wyobrazić, jak one mogły się tam znaleźć, jeśli to był ten pocisk”.

Podobne pytania zadano dr Robertowi Shaw i dr Pierre Finckowi, którzy również stwierdzili, że rana w prawym nadgarstku gubernatora nie mogła być spowodowana wspomnianą kulą, gdyż tkwiło w nim zbyt wiele odłamków metalu. Aby rozprzecznić ewentualne wątpliwości komisji, FBI przeprowadziła testy przetrzeźwienia zwłok w przegubach rąk pociskami o tym samym kalibrze, co kula nr 399. We wszystkich próbach kule opuszczające zwłoki były zdeformowane i silnie splaszczone na końcu. Według opinii dra Fincka:

„Dowód nr 399 nie wydaje się być pociskiem, który mógł przeszyć ciała dwóch ludzi”.

Dodatkowym czynnikiem przemawiającym za tym twierdzeniem była waga pocisku. Zgodnie z orzeczeniem ekspertów FBI pocisk ten ważył po jego znalezieniu około 10,3 grama, podczas gdy najcięższy pocisk kalibru 6,5 mm waży około 10,4 grama. Ponieważ w samym tylko nadgarstku, pomijając już nie wydobyte odpryski metalu z uda, było ponad 0,2 grama metalu, stanowi to jeszcze jeden dowód na to, iż kula, która spowodowała rany Connally'ego, nie była kulą, którą badała komisja.

DODATKOWA KULA

Do wyjaśnienia pozostaje jeszcze jeden problem. Mianowicie — gdzie zniknął ów pocisk, bowiem nie znaleziono go podczas badań lekarskich ani w ciele prezydenta, ani w ciele gubernatora, oraz kto i w jakich okolicznościach go znalazł?

Pierwotnie twierdzono, iż został znaleziony 22 listopada na noszach, na których niesiono ciało prezydenta Kennedy'ego. Według tej wersji pocisk miał rzekomo wypaść z tyłu jego głowy. Ponieważ jednak, zgodnie z orzeczeniem komisji kula przebiła najpierw szyję prezydenta i ugodziła następnie gubernatora, obecność jej na noszach prezydenta byłaby niewytłumaczalna. Zatem komisja „ulokowała” ją nie na noszach Kennedy'ego, lecz gubernatora. (Fakt ten, o ile jest prawdziwy, świadczyłby raczej o tym, iż znaleziona kula mogła być tą, która ugodziła w głowę prezydenta i spowodowała śmierć, mimo bowiem stwierdzenia komisji, iż wyleciała innym otworem w czasie, otworu wyłotowego, jak pamiętamy, lekarze nie znaleźli).

Człowiekiem zaś, który znalazł ów pocisk był pielęgniarz ze szpitala Parkland, Darrell Tomlison, który wysuwał ruchome nosze z ciałami z windy i ustawiał je na korytarzu. W pewnym momencie zauważył, jak z jednego noszy, pod wpływem ich pochylenia przez kogoś z personelu szpitala, wypadła kula. Tomlison powiedział później, że kula ta „najwyraźniej tkwiła pod obrzeżem maty” na noszach. Tomlison nie potrafił jednak określić, czy na tych noszach leżał prezydent czy gubernator. Zastanawiający tu jest zarówno sposób, w jaki kula się zmateriałizowała, jak i fakt, iż poza Tomlisonem nikt nie może potwierdzić faktu znalezienia jej, oraz to, że w tym czasie na terenie szpitala znajdowało się wiele osób całkowicie do tego nieupoważnionych. Pocisk mógł więc zostać łatwo podłożony. Dla komisji Warren nie były to jednak istotne sprawy, istotne było tylko gdzie znaleziono kulę. Oto co głosi jej raport:

„Chociaż Tomlison nie był pewien, czy kula wypadła z noszy Connally'ego czy z sąsiednich, Komisja wnioskując, że kula wypadła z noszy gubernatora”.

JACEK BROMSKI — STORY

(odcinek piąty)



WSPOMNIENIA

Zbieli, sponiewierani przez rozpacz i bezsilność znaleźliśmy się w Neu-Brandenburgu, by rozpocząć życie jeńskie. Barakowe, odrutowane, głodne i zawszone. W barakach były piętrowe łóżka, sienniki wypchane słomą i pocierowane koce wojskowe, ale nad barakami niebo było jeszcze spokojne, jeszcze bezpieczne. Druty opasywały ogromny teren pod samym miastem, teren pusty i gładki, w sam raz na miejsce zorganizowanego dziko odosobnienia.

Wieżyczki wachmańskie spozierały na nas spod białych chmur jesieni. Powietrze w obozie było przepojone udręką i smutkiem, nasycone wilgocią z pobliskiego jeziora. To jezioro — w kilka lat potem — często odkrywaliśmy na mapie na nowo, tylko po to, żeby wyczarować dręczące nas wówczas pytania, dlaczego alianci bombardują Berlin, a nie bombardują komendantury naszego Stalagu 2-a?

W obozie trzymaliśmy się diety wymyślonej przez Himmlera i Goebbelsa: czarna kawa zbożowa i gorzka, cztery kartofle w mundurkach i mienająca wody z rozgotowanego dorsza, dwa deka margaryny i 200 gram chleba. Ale i wśród tej nędzy objawiali się ewangeliści, tworzący z czasem kaste kapitałów żywnościowych. Pod poduszkami gromadzili oni zapasy gotowanych kartofli, chleba i marmolady. Główną walutą w obozie stała się porcja chleba, za porcję chleba można było dostać 20 kartofli, albo 10 skrętów marchorkowych, albo — było to już jednak w maju, po upadku Francji — nawet pierścionek srebrny i grawerowany.

...

Trzymaliśmy się w obozie razem z Gienkiem i Tadeuszem. W baraku nr 15 przeżyliśmy te czasy, chociaż — trzeba się do tego przyznać — spłynęły one po nas jak po psie. Ani Gienek — obecnie wytrawny pracownik jakiegoś urzędu w Warszawie, ani Tadeusz — księgowy w handlu wiejskim pod Łodzią nie czynią już dramatu z owych dni, chociaż wtedy, jesienią 39, co wieczór przed zaśnięciem wyobrażaliśmy sobie inne niż obozowe życie, wyciągaliśmy z przeszłości przedwojennej uśmiechy znajomych dziewczyn, sposób wiązania krawatu, szczegóły wizyt u fryzjerów, zwyczajne rodzinne. Bolesne to były wspomnienia utraconego raju. Przypominaliśmy sobie nawet to, w jaki sposób tramwaje dojazdowe wjeżdżają do Zgierza, jakie filmy grano w łódzkich kinach tuż przed katastrofą, sprzecaliśmy się o to, która ulica jest jeszcze pokryta kocimi łbami, a która kostką bazaltową. Nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy, że na tych nawierzchniach bazaltowych, wyszlifowanych jak żyłki przez koła pojazdów utworzą się „zakrety śmierci” i że te tramwaje dojeżdżają już swej starości i mają być niedługo zastąpione przez autobusy.

Oboz łączyl jak bieda ludzi przypadkowych. Nie wiedzieliśmy, że na przykład Tadeusz na pierwszym spotkaniu powojennym nie będzie miał więcej do powiedzenia niż to, że nadal ma zamiar ożenić się. Tylko Gienek widział po wojnie sens rozmów wiążących nas z tym, cośmy w epoce wachmańsko-obozowej przeżyli i z tym, co właśnie teraz robimy. Po wojnie, gdy nadszedł czas realizacji zamierzeń, o których szeptem mówiło się w baraku nr 15 — nagle stwierdziliśmy, że życie było głuche na marzenia, że obeszło się z nami tak, jak chciało. Tylko Gienek cieszył się z każdej bytności w Łodzi, ile razy w tym kierunku zawiodła go delegacja służbowa. W kawiarni spędzaliśmy wtedy miłe

chwile na rozmowie o najważniejszych sprawach. Spotkałem się z nim w ostatnim 30-leciu kilka razy i zawsze rozmawialiśmy o kobietach. To on zaczął ten temat, bo o czym byśmy nie rozmawiali i tak lądował przy osobistych kłopotach, przy problemie rozvodu. Dziś już zresztą nie potrafię powiedzieć, czy rozwiódł się

czyżów nie przeżyliśmy — nie miał on nastąpić nigdy w tej wojnie, ale upadek Francji wstrząsnął nami tak, jak nasza własna klęska. Ruina, w którą obróciły się nasze marzenia spowodowała odrętwienie, przeradzające się nawet w niechęć, byli tacy, którzy w swych uczuciach szybko przechodzili z sympatii i porozumie-

ku brudom, w których płynęły strugi jesiennej deszczu. Pracowaliśmy na ogromnym polu orzy szosie do Neustrellitz, a deszcz ślął nieustannie. Żeby karabin nie zardzewiał, wachman zakrył lufę pakulami, ale żeby nas przekonać, że to nie ma żadnego znaczenia, mówili: — Jak strzelę, to pakuly i tak wylecą. Ale

nia z powrotem do stalagu. Nie chciał się tam pokazywać na oczy lejtantom, bo a nuż zachciałoby się im wysłać go na front wschodni?

Jako robotnicy rolni byliśmy bez wartości, ale ponieważ nie było w ogóle ludzi do pracy, gdyż w miasteczkach i po wsiach zostali tylko bardzo starzy Niemcy, chorzy przewlekłe i inwalidzi — więc i taka siła robocza liczyła się w oczach baute-cha. Chodziliśmy po polach, snując się za maszynami rozsiewającymi nawozy chemiczne, co dzień lamaliśmy większość widel, szpadli i innych narzędzi, które nam dawano do rąk, sadziliśmy całymi hektarami rzepę czy buraki pastewne korzeniami do góry — i taka była nasza robota. Co wieczór nasz Koch, obecnie aktor Teatru Ziemi Łódzkiej, podejmował nas w białej stajni, gdzieś mieszkali jakiś czas, wyszukany potrawami w postaci kartofli i sosu, bo nie innego w naszym menu znaleźć się nie mogło. Co wieczór, w czasie nie kończących się rozmów, staraliśmy się odpowiedzieć na pytanie: — kiedy?, ale daremne było nasze filozofowanie.

Któregoś rana na zbiorce zabrakło Warszawiaka i Grubego. Uciekli. Dopiero teraz zyskały na znaczeniu pewne szczegóły z ich postępowania w ostatnich dniach: zbierali chleb, reperowali sobie i farbowali mundur, zaopatrzili w mapę Mecklenburgii. Mieliśmy tego dnia karne ćwiczenia, ale już po dwóch dniach Warszawiak i Gruby byli na nowo z nami. Pociąg towarowy, do którego wskoczyli w nocy, jeszcze przed świtem wjechał do jakiegoś tunelu i tam już został na kilka godzin. Nie mieli szans na ucieczkę, bo do wszystkich wagonów rzucili się żołnierze, by wyladować na samochody skrzynie z konserwami, pociskami, plotnami ochronnymi i innymi detalami toczącej się wojny. Zajechali prosto do podziemnych magazynów wojskowych.

raz, czy dwa razy, czy też w ogóle tego jeszcze nie robił. Pogmatwał bowiem sprawę zupełnie. Mówił, że rozwiódł się jak tylko jego instytucja będzie się przenosić do Łodzi. O ile wiem — instytucja ta działa już w tym mieście, a Gienka w niej nie ma. Może więc nie przeniósł się z Warszawy do Łodzi, a może ta jego „stara” go trzyma za frak i nie puszcza ze stolicy?

...

Pod barakowym stropem przeprowadzaliśmy beznadziejne boje z insektami. Obozowa odzwyczajnia nie pomagała — już następnego dnia po zabiegach odkażających insektów pełno było w baraku. Doszło do tego, że ludzie modlili się o pchły — przypominali sobie starą mądrość ludową mówiącą, że gdzie są pchły, tam nie ma nic innego.

Przygniecenie losem przeżyliśmy na wiosnę 40 roku jeszcze jeden dramat równy dramatowi naszemu. Przeżyliśmy klęskę Francji. Nie wierzyliśmy przez kilka dni wieściom powtarzanym przez chełpliwych wachmanów, nie mogliśmy pojąć, że na nie się zdała sławna linia Maginota i sławna armia francuska. Uwierzyliśmy dopiero owego dnia na początku maja, gdy do naszego obozu zaczęły płynąć strumienie znękanego, zaskoczono i niemal zdziwionego żołnierza francuskiego.

Przybyło ich do nas 40 tysięcy. Wszyscy byli bardzo wyczerpani i głodni, a większość z nich — kolorowa. Odżyły za drutami lekcje geografii, czarna Afryka odżyła przed naszymi oczami. Oboz francuski był tuż za polskim obozem, przez druty wymienialiśmy pierwsze wrażenia i poglądy polityczne, wypełnione monosylabami, gestami i mimiką.

Nie bardzo byliśmy zbudowani tą klęską francuską, ani samym faktem przybycia tych 40 tysięcy. Oznaczało ono kompletny upadek naszych nadziei. Liczyliśmy na Francję, tak jak i na Anglię. Upadku Brytyj-

nia na współzucie tylko i obojętność. Ci żołnierze, owych 40 tys., nie byli winni, ale stanowili symbol beznadziejności obozowej, niemocy trwania.

...

Kolorowi zaciążyli nad obozem. Do późnego wieczora — nawet gdy reflektory z wieżyczek strażników omiały już obóz jaskrawymi pasmami światła — wielu z nich błądziło po całym terenie obozu, szukając odpadków, resztek czegośkolwiek, co można było przeżuć, szukając przelknąć. Doszło do tego, że wydzielonych służbą porządkową musiała kijami odpędzać od śmietników. Pojawili się już wtedy pierwsze dziesiątki zachorowań na tyfus. Poszukujący jedzenia na śmietniku stawali się groźni dla całego obozu... W tej sytuacji — uciekając przed głodem i zimnem baraków — postanowiliśmy przenieść się na zimę do pracy u bauera. Nikt z naszej grupy nie znalazł się na rolnictwie, ale ciągnęła nas perspektywa pełnej miski kartofli, ciepła w jakiejś stajni, wyzwolenia z obłąkanego trybu życia za drutami.

Już wtedy, przed odejściem do bauera w Blumenholz i Hohenzie-ritz, przysięgaliśmy sobie, że gdy to wszystko się wreszcie skończy, gdy znajdziemy się z tamtej strony drutów, przestaniemy dbać o cokolwiek. Złamani byliśmy niepowodzeniem. Każdy z nas do czegoś dążył, miał jakieś plany, częściej nawet je realizował, a 39 rok to wszystko przekreślił. Więc przysięgaliśmy sobie, że gdy wyjdziemy za druty, wystarczy nam chleb i margaryna. Dużo chleba i dużo margaryny.

Stary wachman kotyśał się nad nami, pochylając raz po raz głowę

FELIKS BĄBOL

JESIEŃ W STALAGU

strzelania, wiedzieliśmy o tym dobrze, sam się bał panicznie. Bał się wszystkiego, a najbardziej wojny i frontu, dlatego — gdy mu w komendanturze przydzielono grupę jeńców odchodzących do bauera, uważał się za człowieka szczęśliwego. Był już na jednej wojnie światowej, druga wytrącała go z równowagi. Denerwował się również, kiedy ktoś z nas zachorował i domagał się odwiezie-

IMPRESJA TRZECIA



Stary wachman kotyśał się nad nami, pochylając raz po raz głowę

JACEK BROMSKI — STORY

(odcinek szósty)

KRASNOLUDKI CIESZYŁY SIĘ, ICH PRZYSZŁOŚĆ
JASNIAŁA SŁONECZNYM BLASKIEM



ZAWOŁAJ RUSZAJ DO SWOJEJ CHATKI,
ZABIERAJĄC ZE SOBĄ KROLEWNE!



Drukowany tutaj poemat heroikomiczny „Niebezpieczny sąsiad” powstał w roku 1811, zaś drukiem ukazał się po raz pierwszy czterdzieści cztery lata później. Jego autorem jest apokryficzny dziś poeta, stryj Aleksandra Puszkina, twórcy popularnych w jego epoce elegii, pieśni i wierszy albumowych. Jednakże nie tylko związki rodzinne z Aleksandrem kierują naszą zainteresowania ku Wasilijowi Puszkiniowi, który zresztą wywarł niemały wpływ na rozwój najwybitniejszego poety rosyjskiego.

Lata 1810–1815 w Rosji, to okres żywych polemik literackich, epoka sporów o kształt narodowej literatury, w której zaznaczyły się dwie przeciwstawne postawy. Z jednej strony wielkie znaczenie osiąga twórczość Mikołaja Karamzina, pisarza i krytyka, który dążył do zreformowania rosyjskiego języka literackiego opowiadając się za wypowiedziami typu kolokwialnego, które w pełni oddałyby emocjonalną wartość słowa. Z drugiej strony na ruch umysłowy wywierał poważny wpływ działalność wiceadmirała Aleksandra Szyszkowa, który założył towarzystwo literackie „Rozmowa zwolenników słowa rosyjskiego”, przeciwstawiając się, zarówno poprzez tę działalność organizacyjną, jak też poprzez konserwatywną twórczość (rozprawa: „Sąd o starym i nowym stylu języka rosyjskiego”) reformatorskimi ambicjom Karamzina.

Echa tych literackich polemik odnajdziemy w poemacie Wasilija Puszkina. Sporo aluzji jest dziś dla nas mało czytelnych, wymagałoby szczegółowego historyczno-literackiego komentarza, nie stępiało wszakże satyryczne ostrze poematu i już choćby z tych względów zasługuje on na przedstawienie polskiemu czytelnikowi. Dodajmy, że bohater „Niebezpiecznego sąsiada” zawiadłki Bujanow stał się figurą literacką na tyle popularną, że Aleksander Puszkini spożytkował jego obraz w „Eugeniuszu Onieginie”. K. F.

Pozwólcie, że odsapnę, bowiem ledwo żyję.
Przed wami, przyjaciele, nieczego nie skryję!
Zawładał Bujanow — taki był początek —
Który w ciągu lat ośmiu roztrwoniał majątek
Na Cyganki i kurwy, różne pijatki.
Przychodzi do mnie wczoraj. Wygląda jak dziki:
W pogniecionym kaszkiecie, potargany cały,
A wraz z nim jakby wtoczył ktoś kufę gorzalej.
„Sąsiadzie — tak zaczyna — po co siedzicie doma,
Wyludziłem rysaków świetnych od Pachoma,
Jeżeli chcecie, to ze mną możecie się przejechać...”
I, klepiąc mnie po plecach, chytrze się uśmiecha:
„Przyjacieliu, odkrycie zrobiłem wspaniałe!
Dziewka jak złoto, lepszej nie ma w Moskwie całej.
Ma ledwie lat szesnaście, brwila czarną uwodzi,
Dopiero od tej zimy wprawia się w zawodzie.
Jedź ze mną, użyjemy!” Czując pożądanie,
Uległem, moi drodzy, zadałem się z draniem.
Więc wsiadamy do sanek, baranica w sankach.
Przyprężny koń tak zwinny jakby stał w szrankach
Lubi chwacki woźnica jeździć rysakami!
„Hajda — gwizdnął — sokoly, hulniemy z panami!”
Buchnęło gęstym dymem z chrapów płomienistych,
Mknę para ulicami jak wiatr porywisty.
Już most Kuźniecki, Arbat, dalej zaś Powarska,
Dziwią się ludzie dwieście, jak cwałują paska...
Pozwól, Warego — Rusie, piewco nasz surowy,
Słowianofiliów kumie, wtrąć kwestię mowy...
Dołąd w nieuctwie grzęznąć przez lenistwo stare
My, po rosyjsku „d w ó j e a” nazywając parę,
Pisaliśmy, by lepiej rozumiano nas.
Bierz lichy smak i rozum! Piszmy, sprzyja czas!
„To tutaj!” — krzyknął do nas woźnica gorliwy.
W wicherze wiał jak trzciną domek chyboliwy.
Furka przed nami strzeliła go zaryglowana,
Zaś Rzapie — Macierzyzna widzi się na ścianach.
„Kto tam?” — głośnie zachrypiał ktoś nas zapytuje.
„Otwieraj, bo ci zęby wszystkie porachuje —
Zawrzał gniewem Bujanow — starczy na to siły!”
Pchnął nogą drzwi, z zaszczepki kolki wyskoczyły.
Weszliśmy pochyleni, by się znaleźć w ciupee.
I cóż? Diak parafialny w karty tnę się z kupcem:
Ponec, piwo obok tytoń widniały na stole.
O zadzie rozłożyłystym, z wagrami na czole.
Cała prześmierzda czosnkiem, a także i wódka

Każdy człowiek ma swoje intymne życie. Zwykle pozostaje ono jego największą tajemnicą; o tym intymnym życiu wiedzą tylko osoby bezpośrednio zainteresowane. Prywatne listy gina najczęściej w płomieniach. Inny jednak los spotyka korespondencje ludzi, którzy byli sławni za życia, lub którzy stali się sławni po śmierci. Wszystkie, co ich dotyczy, jest skrupulatnie badane, publikowane, szeroko komentowane. I często okazuje się, że pozostawione listy w zupełnym innym świetle prezentują ich autorów. Kto z nas, czytelników książek Aleksandra Dumasa (ojca), spodziewa się na przykład, że twórca słynnych romanów był takim partaczem w zdobywaniu serc niewieści?

Zacznijmy jednak od Henryka VIII i Anny Boleyn, postaci znanych nam z telewizyjnego serialu. Przypomnijmy, że Henryk VIII poślubił Annę Boleyn zanim jeszcze jego pierwsze małżeństwo z Katarzyną zostało uznane za nieważne. Anna miała wówczas 20 lat. Po trzech latach oskarżono ją o wiarołomstwo i kazirodztwo, po czym wtrącono ją do więzienia i ścięto 19 maja 1536 r. A okrutny Henryk VIII tak przedtem potrafił pisać do swej ukochanej:

„Dziś wieczorem otrzymałem wiadomości, które są dla mnie najmiłsze ze wszystkich, jakie w ogóle mogą być. Mam powód kłopotać się z trzema rzeczami. Po pierwsze słyszałem o chorobie władczyni mego serca, która jest mi droższa niż cały świat, której zdrowie tak mi leży na sercu, jak własne; chętnie poświęcę tej chorobie wziętych na siebie, byleś tylko wyzdrowiała. Po wtóre lękam się, iż będę musiał dłużej znosić okrutne rozstanie, które mi dotychczas sprawiało wszystkie możliwe bólesci i, o ile mogę przypuścić, sprawiać mi ich będzie jeszcze więcej. Proszę Boga, by mnie wyzwolił z tak strasznej męki. Po trzecie jest obecnie lekarz nieobecny, do którego mam największe zaufanie i który mógłby mi wyświadczyć największą przysługę, gdyż on i jego środki mogłyby urzeczywistnić największą radość mego życia, a mianowicie uzdrowienie władczyni mego serca. W braku tego lekarza posyłam innemu i proszę Boga, by Cię wkrótce powrócił do zdrowia, a wówczas będę miłował Go więcej niż kiedykolwiek. Proszę stosuj się najdokładniej do zarządzeń, które wyda lekarz; gdy tak postępować będziesz, spodziewam się wkrótce Cię ujrzeć, co memu sercu sprawi większą radość niż wszystkie klejnoty świata.

Pisane przez sekretarza, który jest i zawsze był Waszej Wysockości najposłusznym i najzaufanym sługą.

H. Rez

Z wyżyn królewskich zejdzmy nieco niżej. Jest druga połowa XVII wieku. Markiz de Chamilly walczy po stronie Portugalii z Hiszpanią. W pewnej miejscowości poznaje uroczą mniszkę, Mariannę di Alcoforado. Markizowi szybko szła miła, Marianna pisze do niego zropanzone listy:

„Powinieneś i musisz mi powiedzieć, czemuś takie wysiłki robił, by mnie oszłodzić, gdy wiedziałeś, że pewnego świątecznego poranka mnie porzucisz? Skądże u Ciebie to pragnienie, by mnie utrącić u nieszczęście? Czemuś mnie nie pozostawił w spokoju i ciszy w moim klasztorze? Czyż Ci może coś złego zrobiła? Ale proszę, wybacz mi, kochanku mój!

WASILIJ PUSZKIN

NIEBEZPIECZNY SĄSIAD

Siedziała tuż rajfurka razem z ową młodką.
Fryderyk Drugi, Wolter, oraz sultan Selim
W skromnych ramach nad sofą spokojnie wisieli,
Dwie zaś o bujnych kształtach goszczące tu panie
Właśnie o Nowym Sternie mówiły z uznaniem —
Rzeczony talent wszędzie znajdzie wielbicieli.
Tuż beznosa kucharka w ciepłej kamizeli,
Samowar, filiżanki ozdabiają lawę,
Kulawy lokaj stawia przed paniami kawę...
„To ja!” — głos się rozlega zucha Bujanowa,
Drgnęli: rajfurka, kupiec, diak, ale bez słowa
Wstali, by nas ukłonem powitał stosownym.
„Siedzieć na miejscu...” — sąsiad ostrzega wymowny —
Ni kroku! Równość ma być w kurewskiej tej budzie.
My nie przyszliśmy krzywdzić przyzwolonych ludzi.
Hej, śladaj Pankratjewna! Caluj mnie, Warlusza!
Dajcie poncu! Pij, diaku! Hulaj, hulaj, dusza!”
Wnet jedna z pań goszczących szepce mi do ucha:
„Chodź ze mną do komory, rady mej posłuchaj,
Wygodę tak, złociutki, że mnie upodobaś;
Warlusza młodsza, ale trapi ją choroba
I z małym prezenikiem od niej się wychodzi!”
Spojrzałem na mówiącą. Diabeł kusil, zwodzi!
Poleźliśmy po schodach niby po drabinie,
Kucharka za mną wola: „Szedzdy bojarzynie,
Daj biednej coś za pracę, nie mówię nikomu,
Ty znaj-że, dla honoru, służę ja w tym domu!”
Świeca w czerepku, skrzynia przykryta pierzyną
I podłoga wysłana jakąś rogożyną.
Suszące się kuszule. Kot szary i kura.
W pobliżu dwie miednice. Chciałby czelek dać nura!
Ale nowa znajoma objęła mnie ręką:
„Przyjacieliu — szepnęła — zabaw się z panienką,
Dobrze z oczu ci patrzy, lubię ciebie szczerze.
Wiem, że mnie nie pokrzywdzisz i w nagrodę wierzę.
Znajduję się w rejestrze, tedy po obawie!
Zaświadczyć może Moskwa, że się dobrze sprawię!”
Przeklęta! Wstyd mi pali! Marny czelek i już!
Zgasła świeca w czerepku, skrzynia była tuż...
Lecz nagle wrzetas, wrzaski, aż tu słyhać jęki!
Ślicznotka moja, ledwie czymś okryła wdzięki,
Przerażona po schodach zbiegła na dół bosą,
Ja za nią w ślad, bo a nuż cały dom rozniosą?!
Nieszczęście! To mój sąsiad przepotęzną ręką
Diaka przy ścianie trzyma, druga kupca nęka,
Pankratjewna skrawiona, lichtarze fruwa
I krzesła na podłodze miejsca swe zmieniają.
Wymyśla ordynarnie pijana Warlusza,
Tylko kulawy lokaj z kąta się nie rusza,
Z szacunkiem czeka końca, zażył niuch tabaki,
„Bujanow, zostaw kupca, porachuj się z diakiem!” —
Gniewnego bohatera kurwa tłusta blaga...
Nagle we wszystkie panie wstępuje odwaga:
Spoczywały na oknie Jeruslan i Bowa
I Nieszczęsny Nikanor, powieść uczuciową,
Arfaksad i Rusalka, także Córa słońca —
Te książki w harcownika ciskają bez końca.

Z trwogą w sercu patrzyłem na to kobietę męstwo.
Na nic się zdało. Sąsiad odniósł znów zwycięstwo!
A co było przyczyną bitwy tej zażartej?
Diak, kupiec i mój sąsiad — pijąc — grali w karty.
Nie szczędzili dla siebie różnych uprzejmości,
Warlusza dolewała pilnie poncu gościom,
Przyzwolności długo nie nie zakłócało.
Gdzie jednak bożek Bachus, nieraz tak bywało,
Tam nie spi Szatan, zawsze wróg zabaw niewinnych.
Amator wszelkich intryg, lubi udział czynny:
Już kupiec do Warluszy zaplaoną miłością
(Gdyż kurwa, oczywiście, wspólna jest własnością).
Przysiadł się do Aspazji, żeby kuksnąć diaka,
Diak kuksnął Bujanowa, ten zaś zawiadł, że
Nie mogąc znieść osoby swej lekceważenia,
Potrafił diaka, skąpiąc słówką wyjaśnienia,
Więc diak się rozchocił, kupca w nos uderza,
Kupiec schwylił butelkę i nią się zamierza
Na swych kompanów! Szatan z tego ma uciechę:
Zawsze na tym padole tka się płacz ze śmiechem!
Radość na szybkich skrzydłach zwykła w dal ułatać,
Nieszczęście za to czyha... Nagle ktoś kolata
Do drzwi skrzypiących. Wkracza, gdy się otworzyły,
Policji przedstawiciel, oficer otyły
W surducie mundurowym, dostojny niezmierznie.
„Spokój! — woła. — Panowie, wyście nie w traktierni.
Jak wam się wstyd u pań się tak awanturować?!
Będziemy się musieli z wami porachować!”
Talerzem w odpowiedzi Sąsiad w niego: bach!
Szczęśliwie się złożyło, stałem prawie w drzwiach!
Mój duch w trwodze, że bitwa zacznie się znów sroga,
Uznał, by ocalenia szukać w szybkich nogach.
Nie dbając o zegarek, portfel i pieniądze,
Przez bierwiona i cegły, przez ścieki śmierdzące
Przeskakując — pedziłem bez tchu i pamięci,
Gdy kosmatych cerberów na jakimś zakręcie
Stado, jak z piekła rodem, przede mną stanęło,
Dokoła ujadanie, wycie się zaczęło...
Cóż począć? Na pożarcie płaszczył mi swój rzuciłem,
A śnieg mokry, wiatr silny, w sobie się kuliłem!
Pogrążony w rozpacz, przemarzył do kości,
Po północy narzeczcie do domu z ledwością.
O, drodzy przyjaciele, dobrałem kalekę!
Będę od Bujanowa trzymać się z daleka!
Po stołroć ten szczęśliwy, kto zaznał ciszy,
Ciężko ludzi szalonych w bliskości nie słyszy:
Kto, weseląc się czasem z „przyjaciółką” błogo,
Pocałunku słodkiego nie oplaćka trwogą;
Z kim mój się nie spotyka Sąsiad niebezpieczny,
Kto lubi pożartować, ale w sposób grzeczny;
I kto, nudząc się, wiersze niekiedy układa,
Nad recenzją słowiańską w moeniy sen zapada!

Tłumaczył: JAN HUSZCZA

(Z „Antologii poezji rosyjskiej”, która ukaże się nakładem PIW.)

Nie robię Ci żadnych wyrzutów. Nie jestem w stanie używać przekleństw i zemsty na Ciebie, przeklinam tylko moje straszne przeznaczenie. Kiedy nas rozłączyło, tak mi się przynajmniej zdaje, sprowadziło na nas całe to nieszczęście, którego od niego lekać się mogliśmy. Nie uda mu się jednak rozłączyć naszych serc; miłość silniejsza niż przeznaczenie, połączyła je nierozdzielnie na całe życie...

Niestety, Marianna się ludziła. Markiz przechwalał się miłością dziewczyny i wrócić do niej bynajmniej nie zamierzał. Musiała to w końcu dostatecznie zrozumieć, bo napisała:

LISTY MIŁOSNE SŁAWNYCH LUDZI

„Przyznaję, żeś Waćpan miał większą przewagę nade mną i żeś mnie zniewolił, iż Cię aż do obłędu pokochałam, ale nie masz się znowu czym tak pyszczyć. Byłam młodą, łatwowierną, zamknęto mnie tu w klasztorze od dzieciństwa; widziałam wokół siebie tylko nieprzejmownych ludzi; nigdy nie słyszałam tego rodzaju pochlebstw, jakimiś mnie Waćpan bezustannie zasypywał; zdawało mi się, że Jemu zawdzięczałam ten wdzięk i piękność, którąś we mnie odnajdywał i na którą oczy moje otworzyłyś; słyszałam o Waćpanu li tylko rzeczy pochlebne, czyniłeś Waćpan wszystko, by tylko miłość we mnie wzbudzić. Ale teraz wyzbyłam się tego zaczarowanego koła: Waćpan przysłażył mi się ogromnie pomocą, a szczerze wyznaję, że potrzebowałam jej w najwyższym stopniu (...). Ale już nie więcej od Waćpana sobie nie życzę. To prosty obłęd, że Mu to tak często i tyle razy powtarzam. A jest konieczne, bym wybiła Waćpana z myśli i o Nim zapomniała. I nawet wierzę w to, że już nigdy do Niego nie napiszę.

Chyba rzeczywiście nie napisała... Markiz de Chamilly był uwodzicielem, natomiast za najslawniejszą uwodzicielkę XVII wieku uznana została Ninon de Lenclous, kochanka wielu ówczesnych wybitnych osobistości. Szczególnie słynne są jej listy do markiza de Sévigné. Młody markiz

zakochał się w niej wówczas, gdy liczyła już 56 lat. Doświadczona Ninon pouczała go:

(...) Ma Pan potrzebę kochania. Tak, markizie, gdy przyroda nas formowała, dała nam uczucia, których działalność musi obejmować pewien obiekt. Wiek Pański jest jakby stworzony dla irytacji miłości; dopóki Panem to uczucie nie zawiadnie, będzie Panu zawsze czegoś brak: niepokój, na który Pan się skarży, nie zniknie. Miłość jest sprężyną serca, tak jak ciepło jest sprężyną ciała; kochać znaczy spełniać wolę natury, lub by użyć odpowiedniego wyrażenia, zaspokoić potrzebę. Lecz, jeśli możliwe, okiełznaj Pan to uczucie, by się nie stało namiętnością. Można by o nim powiedzieć to, co powiedziano o pieniądzu: jest on dobrym sługą, lecz złym panem. Jeśli Pan chce zapobiec, by Panem zawiadnęła miłość, to zamiast towarzystwa szacownych kobiet staraj się o stosunki z takimi, których ambicją jest być bardziej zabałowane niż solidne. Ponieważ w Pana wieku nie można myśleć o tym, by zaciągnąć poważne zobowiązania, nie powinienes w kobiecie szukać przyjaciela; należy w niej szukać tylko miłej metresy. Obcowanie z kobietami o ustalonych zasadach, lub takimi, które zeszecone przez starość, starają się wybić wzniostymi zasadami, jest dla mężczyzny, który znajduje się w odwróceniu życiowym: dla Pana takie kobiety byłyby za dobrym towarzystwem, jeśli wolno się tak wyrazić. Potrzebujemy bogactw tylko stosownie do naszych potrzeb; niech Pan zatem obcuje z takimi kobietami, które z uroczą postacią łączą łagodność obejścia, wesołość usposobienia, zamilowanie do towarzyskich przyjemności, i które nie lekają się afery sercowej...

Czy Ninon de Lenclous miała siebie na myśli? Zapewne „wesołość usposobienia” i „zamilowanie do towarzyskich przyjemności” cechowały wiek później żyjącą Konstancję Weber, żonę W.A. Mozarta. Wielki muzyk musiał pokonać wiele przeciwności, aby połączyć się z ukochaną. Po siedmiu latach od daty ślubu, 16 kwietnia 1789 roku pisał do niej:

„Najukochańsza, najlepsza żonko!
Droga żonostu, mam wiele prośb:
primo proszę Cię, byś nie była smutna;
secundo byś zważała na swe zdrowie i nie dowierzała wiosennemu powietrzu;
tertio byś nie chodziła sama, najlepiej, byś w ogóle nie wychodziła piechotą;
quarto byś zupełnie była pewna mej miłości; nigdy nie napisałam do Ciebie listu, nie postawiłszy uprzedzi Twego portretu przed siebie;

quinto proszę Cię w Twym zachowaniu zważać nie tylko na Twój i mój honor, lecz również i na pozory. Nie gniewaj się z powodu tej prośby. Musisz mnie właśnie dlatego jeszcze więcej kochać, iż zważam na honor.

(...) Caluję Cię mimo wszystko, (tzn. prośby o zachowanie również i pozorów — przyp. MAJ) i przyciskam 1495060437082 razy i jestem po wieki Twój najwierniejszy mąż i przyjaciel.

MAJ

U PRZYJACIOŁ

Cały świat przygotowuje się do uczczenia w 1975 roku trzydziestej rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem. Z tych też względów przedstawiciel radia czeskosłowackiego zaproponował wszystkim organizacjom radiowym — członkom międzynarodowego stowarzyszenia radiowego OIRT — przygotowanie i nadawanie przy tej okazji specjalnych audycji, które w radiowej formie literackiej przedstawiałyby walkę narodów z faszyzmem. Audycje powinny również stwierdzić, w jaki sposób zwycięstwo nad faszyzmem wytworzyło warunki do zbudowania nowego ustroju społecznego.

Projekt czeskosłowacki został zaakceptowany przez organizację członkowską OIRT.

We wrześniu odbyło się w Czechosłowacji spotkanie grupy ekspertów do spraw audycji literacko-dramatycznych komisji programowej OIRT, podczas którego omówiono możliwości realizacji wspomnianego projektu. Z przeprowadzonych rozmów wynika, że opracowany zostanie wspólny cykl programowy, do którego każda stacja radiowa przygotuje około 50-minutową audycję literacką.

Cały cykl emitowany będzie przez rozgłośnie radiowe wszystkich krajów socjalistycznych i Finlandii. „Wiosna 1945” — oto tymczasowa nazwa robocza cyklu przyjęta na wniosek czeskosłowacki. Cykl nadany zostanie we wszystkich krajach tak, aby jego część kończąca zaprezentowana została najpóźniej do 8 maja 1975 roku.

Nakładem leningradzkiego oddziału wydawnictwa „Nauka” ukazał się już wkrótce w znacznej części nieznana korespondencja Anny i Fiodora Dostojewskich, która wnoszą nowe szczegóły w naszą wiedzę o życiu tej rodziny, a także okolicznościach powstawania szeregu dzieł wielkiego pisarza. Piszą o tym filolodzy S. Biełłow i W. Tunimamow, którzy przygotowali tę edycję do druku.

Korespondencja Dostojewskiego z żoną Anną, obejmująca okres ich piętnastoletniego pożycia, to niezwykle interesująca „Kronika rodzinna”. Pisma te nie tylko ukazują osobowość pisarza, ale również nieznane dotąd szczegóły biograficzne. Po prostu listy to śledzimy kolejne, pełne napięcia etapy powstawania takich dzieł, jak „Biesy”, „Idiot”, „Młodość” i inne, znajdujemy się w samym środku twórczego laboratorium pisarza, jesteśmy świadkami jego bliskich kontaktów z współczesnymi mu wybitnymi działaczami kulturalnymi i społecznymi.

Listy Dostojewskiego do żony stanowią cenną część całej jego epistolarnego spuścizny. Wiele miejsca w tej korespondencji zajmują sprawy bytowe. Pisarz bardzo ciężko przeżywał stałe niemal trudności finansowe rodziny. Ubolewał przede wszystkim nad tym, że nie mógł zabezpieczyć przyszłości dzieciom.

Obecna edycja tej korespondencji, uzupełniona naukowym komentarzem, zawierającą 75 niepublikowanych dotąd listów Anny Dostojewskiej do męża i 164 listy pisarza do żony, a także 55 listów Anny do krewnych i znajomych, — one także przyniosą wiele nowych, interesujących przyczynków do biografii pisarza.

Aktywny działacz społeczny pedagog, publicysta, honorowy członek wielu akademii muzycznych Europy i Ameryki, a przede wszystkim słynny kompozytor i dyrygent o światowej sławie — Aram Chaczaturjan, mimo ukończenia siedemdziesięciu lat wciąż zadziwia swoją pracowitością. O tym jak godzi rozliczne obowiązki z działalnością kompozytorską oraz o swym warsztacie twórczym mówi w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Niedziela”.

„Mój dzień roboczy trwa od rana do późnego wieczora. Jestem przede wszystkim kompozytorem, ale również wiele satysfakcji sprawia mi dyrygentura, a także praca pedagogiczna. Priorytetem społeczna uważam za integralny składnik każdego twórcy i obywatela.

Ostatnio zakończyłem pracę nad koncertem — rapsodem na fortepian i orkiestrę oraz sonatę — fantazję na wiołonoce. Marzę o napisaniu baletu o tematyce współczesnej. Szczególnie fascynuje mnie temat Wielkiej Wojny Narodowej, ale nie każdy temat można przedstawić środkami choreografii. Jeśli tylko dostanie odpowiednie libretto, natychmiast przystąpię do pracy.

Marzę mi się napisanie książki o ludziach, z którymi zetknąłem się w życiu. A byli to ludzie niezwykli: Gorki, Stanisławski, Roland, Hemingway, Neruda, Chaplin. Byłaby to również książka o muzyce”.

(J.)

W Grecji nadal utrzymuje się stan napięcia po próbie przewrotu państwowego 24 lutego br., podjętej przez grupę oficerów — zwolenników b. junty wojskowej. Władze kontynuują śledztwo w tej sprawie, a partie opozycyjne w parlamencie krytykują marazm i złą wolę ministra obrony Ewangelosa Aweroffa. Komuniści oraz przedstawiciele opozycyjnego Ogólnogreckiego Ruchu Socjalistycznego na czele z liderem tej organizacji — A. Papandreu, zarzucają rządowi, że jego kunktatorstwo w oczyszczaniu armii z elementów powiązanych z reżimem „czarnych pułkowników”, może doprowadzić do powtórzenia w Grecji „wariantu chilijskiego”. Papandreu wezwał rząd do działań neutralizujących w kraju wpływ NATO i uniemożliwiających działalność CIA.

W szerokich kołach społeczeństwa greckiego panuje opinia, iż wydarzenia z końca lutego br. są wynikiem polityki „przerzucania mostów” między rządem cywilnym i wojskiem. Tej polityce patronuje minister obrony narodowej — Aweroff. Armia nie została dotąd oczyszczona z elementów sympatyzujących z juntą, a większość aktywnych zwolenników wojskowej dyktatury nadal zajmuje odpowiedzialne stanowiska w siłach zbrojnych. Z doniesień prasy greckiej wynika, że w sztabie generalnym armii greckiej, a nawet w najbliższym otoczeniu ministra obrony, znajdują się ludzie, którzy odegrali wybitną rolę w latach dyktatury „czarnych pułkowników”.

Premier Karamanlis, odpowiadając na krytykę opozycji pod adresem rządu za spóźnione i niemrawe działania przeciwko projektom oficerom w armii greckiej powiedział, że w okresie ostatnich ośmiu miesięcy jego osobiste bezpieczeństwo było częstokroć zagrożone. Premier zapewnił opozycję, że już w najbliższym czasie armia zostanie gruntownie oczyszczona ze stronników byłej junty. Karamanlis powiedział również, że spiskowcy nie mieli poważnego oparcia w armii i że rząd wiedział o zamierzonym przewrocie, udarmiając go w momencie, który uznał za stosowny. Mimo tych wyjaśnień premiera opozycja żąda dymisji min. Aweroffa.

Jak już dziś wiadomo, spiskowcy zamierzali uwolnić z więzienia ex-dyktatora Papadopolosa, byłego szefa policji wojskowej Joannidisa oraz innych liderów junty, następnie — w oparciu o formację czołgów i pododdziały piechoty morskiej — opanować najważniejsze rejonny stolicy, zając urzędy ministerialne, lotnisko, węzły telefoniczne i elektrownie, rozgłośnie radiową i telewizyjną oraz aresztować premiera Karamanlisa i wszystkich członków rządu. Celem przewrotu było ustanowienie w Grecji dyktatury wojskowej. Na czele spisku stał pułkownik Perdakis, bliski przyjaciel Joannidisa i jeden z przywódców puczu 21 kwietnia 1967 roku. Trzon spisku stanowili ludzie, którzy przygotowywali w lipcu ub. roku zabójstwo prezydenta Cypru, arcybiskupa Makariosa. Są to fanatycy zwolennicy Papadopolosa oraz wyżsi funkcjonariusze policji wojskowej, którzy czuli, że już w najbliższym czasie ujrzą światło dzienne ich

przestępstwa dokonane w okresie dyktatury junty.

Lutowe wydarzenia w Grecji świadczą o ostrej walce politycznej między siłami demokracji a zwolennikami i zausznikami byłej junty wojskowej. Wskazują one również z całą wyrazistością, jak dalece siedmioletnie rządy „czarnych pułkowników” i następstwa kryzysu cypryjskiego przeszkadzają w ustanowieniu w kraju władzy demokratycznej.

rodowej. Przypuszcza się, iż ważną rolę odegrała tu część korpusu oficerskiego, niezadowolonego ze złego stanu bojowego armii greckiej w czasie kryzysu cypryjskiego.

Nasuwa się pytanie co może łączyć tych oficerów z Aweroffem? Być może odpowiedzi na to pytanie należy szukać w wydarzeniach z maja 1973 roku, kiedy to poparł on bunt oficerów marynarki wojennej przeciwko Papadopolosowi, żądających restaura-

pisali oni oświadczenie, w którym żądali powrotu do armii demokratycznie nastawionych oficerów, dyskryminowanych w okresie władzy junty. Ale nawet to żądanie parlamentarzystów, członków partii stanowiącej większość w parlamencie, nie odniosło skutku. Fakt ten świadczy, iż Aweroff zajmuje bardzo silną pozycję. Z kolei demarche posłów wskazuje, że duża część członków partii Nowej Demokracji jest negatywnie nastawiona wobec Stanów Zjednoczonych i NATO, miesających się nieustannie w wewnętrzne sprawy Grecji.

Najbardziej zacieklą walką między siłami reakcyjnymi a siłami demokracji rozgorzała w ostatnich dniach, kiedy poruszono kwestię ukarania organizatorów przewrotu państwowego z 21 kwietnia 1967 roku, jak również kwestię oczyszczenia aparatu państwowego i sił zbrojnych z zauszników zbankrutowanego reżimu. Zdaniem opozycji sprawą niezmierne ważną jest przeprowadzenie tej czystki w możliwie najkrótszym czasie i w najszerszej skali, nie tylko w aparacie państwowym i w armii, lecz także w organizacjach społecznych, organach sądowych, zakładach naukowych, szkołach, a nawet w Kościele. Partie opozycyjne i liczni przedstawiciele Nowej Demokracji wyrażają zdecydowany pogląd, że dopóki protegowani „czarnych pułkowników” nie zostaną ujawnieni i nieszkodliwieni, dopóty demokratyczne instytucje młodej republiki greckiej nie będą w stanie wykonywać swoich funkcji i przeciwdziałać zamachom wrogów wewnętrznych i zewnętrznych.

Jak widać, aresztowanie Papadopolosa, Joannidisa i dziesięciu innych generałów i pułkowników, przebywających obecnie w więzieniu „Koridallios”, nie rozwiązało wszystkich problemów. Szczególnie niepokojący jest fakt, że spośród pięciu osób oskarżonych o udział w przewrocie państwowym w 1967 roku i w poważnych przestępstwach, dokonanych w okresie władzy junty, przed sądem stanęło zaledwie około dwudziestu. Obecnie reakcja robi wszystko, żeby przeszkodzić w postawieniu przed sądem innych członków junty. Chodzi tu nie tylko o uczestników wydarzeń z kwietnia 1967 roku, lecz także o sorawców 35 nie wyjaśnionych dotąd zabójstw politycznych, krwawych rozpraw ze studentami Instytutu Politechnicznego we wrześniu 1973 roku, bestialskich oprawach z polnii wojskowej, którą kierował Joannidis, sorawców skandalicznych nadużyć finansowych i t.d.

W Atenach krąży uparcie pogłoska, że minister Aweroff może dokonać próby zawładnięcia stanowiskiem premiera w wypadku, jeśli Karamanlis, po przyjęciu nowej konstytucji której projekt dyskutuje się obecnie w parlamencie, zechce zająć stanowisko prezydenta republiki. Niedawno gazeta „Eksomissi” (organ Ogólnogreckiego Ruchu Socjalistycznego) zamieściła informację, że w marynarce wojennej otwarcie podnoszą głowy oficerowie popierający ministra obrony i że armię kontrolują monarchiści. Nie wiadomo, ile jest w tym prawdy, niemniej faktem jest, że nie oczyszczony dotąd z elementów reakcyjnych aparat państwowy i wojsko kryją w sobie poważne niebezpieczeństwo dla procesu demokratyzacji w Grecji.

JERZY CZECH

▲ JEDNOŚĆ KRAJÓW SOCJALISTYCZNYCH ▲ PREMIER CHIRAC W MOSKWIE ▲ NOWE PROPOZYCJE W WIEDNIU ▲ W PORTUGALII I NA BL. WSCHODZIE

Udział przywódców krajów socjalistycznych w Zjeździe WSPR w Budapeszcie wykorzystany został również do oceny aktualnej sytuacji międzynarodowej. W przemówieniu Leonida Breżniewa dominowały dwa wątki: współpracy krajów socjalistycznych oraz umocnienia światowego pokoju.

W bieżącym roku minie 20 lat od daty powołania do życia organizacji Układu Warszawskiego. Stworzyła ona szeroką płaszczyznę politycznej i obronnej współpracy państw socjalistycznych. Przyczyniła się do utrwalenia zdobytych przez socjalizm i rozwój naszej pokojowej polityki.

Dłużej, bo już od czterdziestu lat, funkcjonuje Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Wśród wielu jej osiągnięć, szczególną rolę spełnia kompleksowy program socjalistycznej integracji gospodarczej. To głównie dzięki niemu, kraje socjalistyczne legitymują się najwyższym rozwojem przemysłowym. Nie socjalistyczny świat przeżywa obecnie głębokie trudności, następuje nieustannie od 30 lat spadek produkcji, zwiększa się bezrobocie i szaleje inflacja. Ta sytuacja na rynku światowym wywiera pewien wpływ na nasze stosunki gospodarcze, jednakże właśnie współdziałanie w ramach RWPG chroni nas przed

szkodliwymi następstwami zachodniego kryzysu.

Każdy rok przynosi zacieśnianie współpracy krajów socjalistycznych na polu ideologicznym, politycznym, gospodarczym... Mamy bowiem przed sobą jeden cel: zapewnić narodom niezbędne warunki do pokojowej, twórczej pracy.

Z zadowoleniem można więc odnotować, że stosunki ZSRR i innych krajów socjalistycznych wspólnie z większością państw kapitalistycznych, wchodzą na tory wspólnotnictwa i współpracy. Na kontynencie europejskim wiążemy nadzieje z pomyślnym zakończeniem Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. W niedalekiej przyszłości, odbędzie się kolejna konferencja europejskich partii komunistycznych i robotniczych. Z pewnością odegra ona zasadniczą rolę w wytyczeniu nowych zadań, które trzeba spełnić, aby proces umacniania pokoju miał charakter nieprzerwany. Jest to konieczne, gdyż na Zachodzie, w sytuacji kryzysu gospodarczego, aktywizują się siły przeciwne odprężeniu. Chcą one zmienić bieg wydarzeń, wprowadzić świat ponownie na drogę wyścigu zbrojeń i zimnej wojny.

Nie wygaszono też do końca niebezpiecznych ognisk napięć, konfliktów i eksplozji wojennej na Bliskim Wschodzie.

dzie, w Azji południowo-wschodniej i innych rejonach świata. A przecież nie można sobie wyobrazić, aby na jednym kontynencie w pełni zagwarantować pokój, wówczas, gdy na innym zbierają się chmury wojenne. Dlatego też Związek Radziecki przywiązuje tak dużą wagę np. do zbiorowego bezpieczeństwa w Azji.

Na tle tak zarysowanej ogólnej sytuacji w świecie — spojrzmy na niektóre ostatnie wydarzenia.

Na pewno duże znaczenie trzeba przywiązywać do wizyty premiera rządu francuskiego — J. Chiraca w Związku Radzieckim. Jak powiedział gospodarz — premier A. Kosygin: „Przyjaźń między naszymi narodami ujawniła się doskonale w ostatnim dziesięcioleciu, kiedy ZSRR i Francja, zjednoczyły swe wysiłki w imię utrwalenia pokoju i współpracy między państwami o odmiennych ustrójach i systemach społecznych”. Obecnie główne zadanie sprowadza się do wcielenia w życie zasadniczych porozumień, jakie osiągnięto w czasie grudniowego spotkania L. Breżniewa z V. Giscard d'Estaing. Będą one służyć nie tylko dwustronnej współpracy, lecz sytuacji światowej. Temu celowi — realizacji owych porozumień podporządkowane były rozmowy radziecko-francuskie w Moskwie.

Wydarzeniem tygodnia jest także POSTĘP W ROKOWANIACH WIEDŹSKICH. Przypomnijmy, że kraje socjalistyczne prócz całocisowego projektu porozumienia w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej — zgłosiły propozycję początkowego kroku redukcyjnego w 1975 roku oraz nie zwiększania liczebności sił zbrojnych w czasie trwania rokowań. Najnowsze propozycje krajów socjalistycznych zakładają,

że dwa czołowe mocarstwa — ZSRR i USA, dokonałyby redukcji jako pierwsze w bieżącym i przyszłym roku, jednak wszyscy uczestnicy porozumienia podjęliby zobowiązanie, dotyczące wielkości i terminu redukcji sił w drugiej połowie br. oraz w drugiej połowie roku przyszłego. Ta nowa inicjatywa krajów socjalistycznych, wychodzi naprzeciw stanowisku państw zachodnich o celowości zapoczątkowania tego procesu od supermocarstw.

W dalszym ciągu w obronie najwyższego zainteresowania utrzymuje się sytuacja w Portugalii. Nieco — o 13 dni — przesunięto termin pierwszych od pół wieku wyborów powszechnych. Ostatecznie odbędą się one 25 kwietnia, w pierwszą rocznicę obalenia reżimu faszystowskiego. Decyzją Rady Rewolucyjnej do kampanii wyborczej nie zostanie dopuszczona jedna z partii prawicowych oraz dwa małe ugrupowania lewackie. Jedni i drudzy występowali przeciwko programowi Ruchu Sił Zbrojnych, a tym samym przeciwko utrwaleniu zdobytych rewolucji.

Z rejonu Bliskiego Wschodu najciekawsze informacje o wahadłowych podróży Kissingera, między stolicami różnych krajów. Do obecnej misji sekretarza stanu, nawiązał w wywiadzie prezydent Sadat, ujął, że rozmowy dotyczą wycofania się Izraela z niektórych rejonów. Sprawa gwarantuje — podkreślił — w zamian za wycofanie się z Synaju, może być podjęta dopiero w Genewie, w ostatecznym porozumieniu pokojowym. W genewskiej konferencji — zdaniem prezydenta — powinny wziąć udział wszystkie kraje graniczące z Izraelem oraz Palestynczycy.

W. SŁAWSKI

FILM

PYTANIA DLA ANTONIONIEGO

Michelangelo Antonioni znalazł czas na krótkie, półoficjalne spotkanie z władzami studentami iódzkiej szkoły filmowej. Krótka rozmowa nie pozwoliła na zapoznanie się z wieloma zapytaniami, ale udało się zadać kilka najważniejszych. Odpowiada prekursorem współczesnego kina introspekcyjnego:

— Jakiej wartości w swoich filmach uważa Pan za najważniejszą?

— Nie widzę takich ani też nie mam specjalnych celów. Film jest dla mnie po prostu jednym ze sposobów komunikowania...

— Do którego z filmowych bohaterów ma Pan najbardziej osobisty stosunek?

— Nie lubię autobiografii. W moich filmach, przeciwnie niż w filmach Felliniego, „Amarcord” jest wprawdzie bardzo dobrym filmem, ale nie jest to ani mój ani jedyny sposób twórczości kina. Mój bohaterowie należą do moich doświadczeń intelektualnych, z których się wyłaniają, kształtowani stanami ducha, sposobem bycia... doświadczeń zintegrowanych w czasie realizacji filmu z innymi czynnikami, miedzy innymi pogodą, porą dnia, oświetleniem. Moje życie jest we wszystkich moich bohaterach...

— Jak się ma scenopis do rzeczywistej sytuacji na planie, na ile pan improwizuje?

— Scenopis — to opis scen i dialogów, brak w nim jednak szczegółów ujęć, ruchów kamery. Wiele czasami nie wiem, co będzie robił. Wtedy improwizuję.

— Czy Pan wie, co będzie kłopot, ale nie wie jak, czy do końca pan jeszcze na coś liczy, na zdarzenie, przypadek?

— Kiedy nie wiem co, są jeszcze asystenci. Mój film jest w końcu we mnie, w każdej chwili go z siebie przywołuję, wyobrażam sobie „co i jak”. Owszem, niespodzianki zdarzają się. Pod koniec zdjęć do „Czerwonej pustyni” wyjechał nagle Richard Harris, choć jeszcze był potrzebny.

— Jak pracuje Pan z aktorami? Co wydaje się panu ważniejsze w doborze aktorów: predyspozycje psychologiczne, intelektualne, czy znajomość rzemiosła?

— Albo aktor jest genialny i wówczas wiele robi sam, albo z wolna dochodzi do sensu roli, studiując scenopis, a ja mu pomagam. Nie mówię jednak wszystkiego. Jeśli bowiem nie wszystko — to staje się własnym reżyserem, widzi i według postaci, którą gra. Reżyser zaś patrzy na film jako całość... Trzeba sprokować u aktora pewne zachowania, sposoby gry. Zresztą, błędy aktora są niekiedy najbardziej szczerze. Czasem kamera obserwuje aktora już po skończeniu sceny, aby uchwycić chwilę wątpliwości, inercji. Przy takim rodzaju pracy aktorzy często wariują, ale to też dobrze.

— Czy zdarzają się momenty, kiedy traci pan kontrolę nad postaciami i na przykład zachowują się w sposób...?

— W aktorze? — to mi się zdarzało... Ale nie ma to wpływu na moją pracę.

— Jak układa się Panu współpraca z operatorem?

— Przez niego tworzy się moja wizja filmu. Reżyser musi dokładnie wiedzieć czego chce od operatora. Widzę „Czerwonej pustyni” być dalekie od rzeczywistości. Szło o stworzenie obrazu subiektywnego, o przeżycia bohaterki chorej psychicznie i z tej pozycji właśnie patrzącej na świat... Dlatego „gwiaździsty” rzeczywistości zmieniając kolor, światła, obiektywy. W moim ostatnim filmie punkt widzenia jest obiektywny, światło jest rzeczywiste. Celowo zastosowałem spokojną „chłodną” kolorystykę, odrzucając również prawdziwe kolory chińskiego krajobrazu. Jest to historia reportera, który musi mieć obiektywny stosunek do rzeczywistości. O tym wszystkim rozmawiam z operatorem, ważny jest ten „styku”, porozumienie. Kontroluje go jednak bardzo, to mój zwyczaj. Czasem sam ustawiam światła, badam je dla każdego ujęcia i wybieram najlepsze pory dnia do kręcenia, proponuję filtry, osłony, obiektywy, interesuje się pracą operatora, jego widoczności świata...

— Zaryzykowałbym Panu, kompensowanie braków interwizji, fabuły w świecie klasycznym — obrazem, kolorem. Czy nie marzy Pan o zrobieniu czegoś w stylu „W samo południe”, filmu „klasycznego”?

— Obraz, to co chce przekazać, jest dla mnie ważniejsze od wydarzeń. Nie ma reguł, że film musi mieć akcję.

— Kto Panu pisze scenariusze?

— Piszę sam, konsultuję pewne rzeczy. Ostatnio jednak sfilmovalam obez pomysłu. Było coś mi bliskiego w scenariuszu Marco Peplio, według którego powstał „Zawód: reporter”. Często doświadczałam zmian w treści przemyślanej, według której miał powstać film.

— Jakie filmy z historii kina stawia Pan za najważniejsze?

— Te, które dopiero nakręcał...

Zanotował:
TOMASZ SOLDENHOFF

KONFRONTACJE - 74

Konfrontacje 74 mamy za sobą. Po dawnych nazwach i ukrytych w nim programach typu Festiwal Festiwalu Filmowych nie pozostało śladu. Dziś skromnie impreza ta nazywa się Przeglądem Filmów Świata. Ponieważ normalny, całoroczny repertuar kinowy jest również niczym innym jak przeglądem filmów świata, tym sposobem stawia się czoła wszelkim zarzutom dotyczącym fakult, iż w imprezie typu Konfrontacje nie ma nic wyjątkowego, że nie staje się ona artystycznym światłem dla kinomanów, którzy rok cały wybierając z repertuaru kinowego jego rodzynki, marzyliby jeszcze o innych ingrediencjach spożywanych właśnie w okolicznościach świątecznych czyli — w czasie Konfrontacji. Ano, widac fantazji, która, nie ukrywajmy, zawsze pociąga kosztą większą niż życie spokojne, brakuje instytucji zawiadującej artystycznym życiem naszych kin, czyli Centrali Rozpowszechniania Filmów. Być może dzieje się tak dlatego, że wiadomo, iż ludzie i tak to kupią.

Amatorów dwutygodniowego maratonu, jak dotąd, nie brakuje. Widac udział w Konfrontacjach traktują właśnie jako dowód fantazji — za jednym zamachem obejrzą to, co w ciągu roku musieliby wybierać z kinowego repertuaru, nie zawsze przy tym dobrze poinformowani o tym, co godne tych zachodów, a co nie. Tak więc sądzić należy, że Konfrontacje w

Konfrontacji, co tu ukrywać — nie najambitniejszy, pomimo to pozwolił wynieść z tych wielodniowych bywań w kinie określone wrażenia.

Najwybitniejsze filmy Konfrontacji 74 („Czerwona kalina”, „Amarcord”), ale i filmy drugiego rzutu („Przepowiednia”, „Rozmowa”, „U

głównie uniwersalizmem języka obrazu, podporządkowanego konwencji narzuconym przez przewoźcę filmowej produkcji kinematografii.

Świat filmu Szukszyna stoi na drugim biegunie, gdy porównujemy go ze światem Felliniego. Dzięki temu my jesteśmy bogatsi. Gdy w różności

EWA NURCZYŃSKA

CAŁY REPERTUAR W DWA TYGODNIE

kresu”, „Romanca dla zakochanych”) a nawet trzeciego („Strach zżerać duszę”, „Derwisz i śmierć”) uzmysławiają rzecz jedną. Wyróżnikiem wartości

tych światów odnajdujemy mimo wszystko uniwersalizm ludzkich spraw, jesteśmy mądrzejsi. Gdy potrafimy, oglądając te filmy, wzruszać się, stajemy się lepsi.

Jest to najistotniejsza cecha współczesnego kina, świadcząca dziś najpełniej o tym, iż sztuka filmowa osiągnęła swą dojrzałość. Tam, gdzie mamy do czynienia ze sztuką, a nie tylko z przemysłem rozrywkowym, tam dochodzą do głosu wielkie indywidualności twórcze, dające wyraz temu, co ich własne, ale, co źródła ma w ziemi, na której żyją.

O dojrzałości sztuki filmowej świadczy też to, że zjawiskiem coraz częściej stają się tzw. filmy autorskie. Określenie to brzmi śmiesznie, gdy używamy go w kontekście doświadczeń sztuk innych. Film przebywał jednak drogę inną, podstawowa produkcja filmowa na niej pozostaje. Sztuka filmowa szuka jednakże nowej. Nie bez przyczyny najpiękniejszymi filmami tegorocznych Konfrontacji są „Amarcord” i „Czerwona kalina”. Federica Felliniego nikomu nie trzeba przedstawiać. Wasiłija Szukszyna — pisarza, reżysera i aktora, który jest autorem i aktorem „Czerwonej kaliny” — znamyśmy mało. Trudno pogodzić się z myślą, iż film ten był ostatnim dziełem tego zmarłego przed kilku miesiącami artysty.

Gdy mowa o różnych drogach filmu, warto może również przywrócić się

temu, co cechuje dziś ten jego nurt, który w przeciwieństwie do kina artystycznego zwykliśmy nazywać rozrywkowym. Nurt ten najciekawiej reprezentowało, co zresztą też oczywiste, zważywszy na znakomite tradycje, „Zadło” Hilla. „Nie oglądaj się teraz” Roega, „Zegarmistrz od św. Pawła” Taverniera i „Rozmowa” Coppoli. Te dwa ostatnie filmy sytuują się zresztą na swoistym pograniczu, niezwykle charakterystycznym dla współczesnej kinematografii Zachodu.

Od kilku lat, zwłaszcza kinematografia amerykańska wykorzystuje konwencje najpopularniejszych gatunków filmowych, takich jak film sensacyjny, kryminalny czy western, by ukryć w nich znacznie głębsze walory niż te, które zwykle kinowa rozrywka niesie. Filmy te, pełne sensacji i atrakcyjności, dokonują jednocześnie wcale nieblatnych sondażów politycznych, społecznych i obyczajowych. Atrakcyjnością formy kupują publiczność, czy mogą liczyć na to, że w formie tej publiczność owa znajdzie coś więcej — nie wiem. Fakt pozostanie faktem i jego ambicji nie dostrzec nie można.

„Zadło” Hilla, film obdarowany siedmioma Oscarami 1973 roku, pozostając czystą rozrywką, dorzuca jeszcze jeden argument do tezy dojrzałości kina. Jest to film, będący świadectwem jego autoświadomości, film cudownej zabawy w kino, gry, którą prowadzi się z widzem świadomym wszystkich konwencji gatunku. W tej grze mistrzowie filmowej rozrywki są lepsi — potrafili zaskoczyć nawet tych, najlepiej reguły zabawy znających.

To, co im się udało nie wyszło angielskiemu reżyserowi filmu „Nie oglądaj się teraz”. Przekroczył barierę konwencji, nie dając nic, co by to usprawiedliwilo. Nic — to może za mocno powiedziane, bowiem raz na zawsze utrwalił w świadomości tysięcy widzów obraz umierającej Wene-cji, zrobił to nawet lepiej niż Luchino Visconti. Film Roega pozostaje przedmiotem zazdrości dla tych ludzi, których nie rozpieszcza się nie tylko perfekcją, ale nawet rzemieślniczą rzetelnością filmowego warsztatu. Jest dowodem, że znakomitość filmowego opowiadania, kreowanego obrazem, jest dziś nie tylko umiejętnością takich czarodziejów ekranu jak Federico Fellini, że zwykłe komercyjne, rozrywkowe kino sztukę tę posiada. Nie u nas! Nasza kinematografia może mieć, z rzadka, dzieła wybitne (vide „Ziemia obiecana” Andrzeja Wajdy, trzeci znaczący film Konfrontacji 74), nie może mieć jednak tego nurtu, bez którego nie ma życia kina. Dlaczego? Czy ziemia i niebo, są tu mniej życzliwe?



U KRESU

kształcie nie zmienionym trwać będą nadal, do buntu widzów nie dojdzie, jako że stale jeszcze karneć i biletów dla wszystkich chętnych nie starcza, a rotacja widzów plus nowe fale osiemnastolatków zapewnią tej imprezie stałą publiczność, wśród której zresztą pozostanie wierna gromada stałych kibiców. Jak się nie ma co się lubi, to się lubi, co się nie ma.

A więc co się miało? Dobrze to było, czy źle? Odpowiedzi może być wiele, choć na ogół wśród uczestników Konfrontacji 74 dominowały głosy rozczarowania. Jeśli jednak, zgodnie z tym, co powiedziało się wyżej, imprezę tę traktować trzeba jedynie jako zapowiedź sezonu filmowego w kinach, wybrzydzać nie ma co. Rzeczą normalną jest w nim bowiem sąsiedztwo rzeczy wybitnych i obok przeciętnych. Jeśli zapewniając Konfrontacjom frekwencję, godzimy się na ich model, nie narzekajmy.

Fala dyskusji o poszczególnych filmach Konfrontacji 74 minęła, bo towarzyszyła dniom projekcji. Dziś warto może powrócić do nich jedynie po to, by odnaleźć to, co w nich najbardziej charakterystyczne dla pewnych ogólnych zjawisk współczesnego kina. Programowy układ tegorocznych

ci dzieł filmowych jest stopień nasycenia tym, co niepowtarzalne. Nie chodzi tu o walory filmowego warsztatu, którego perfekcja demonstrowana była w programie Konfrontacji, na przykład w propozycjach kina rozrywkowego („Zadło”, „Nie oglądaj się teraz”). Chodzi o niepowtarzalność wyrastającą z narodowej i kulturowej gleby dzieł takich, jak na przykład „Czerwona kalina” Szukszyna, „Amarcord” Felliniego, jak „Przepowiednia” Alcoriza czy „U kresu” Maara. Odbiorowi tych filmów towarzyszy świadomość ich absolutnego określania przez przynależność narodową, kulturową, ustrojową wreszcie. Talent twórczy czyni je dziełami bardziej lub mniej wybitnymi, to jasne, dzięki niemu widz zyskuje szansę większego lub mniejszego przeżycia intelektualnego, moralnego czy estetycznego. Niemniej absolutnie niepowtarzalny walor tych filmów tkwi w tym, że dzięki nim mamy szansę być bogatsi o to, co przynosi nam wraz ze swą narodową specyfiką. Wielka podróż poprzez kraje i kontynenty, która zawsze była walorem kina, dziś zyskuje na wartości poznawczej i emocjonalnej. Kino gubi swój uniformistyczny szlif, warunkowany ongiś



ZIEMIA OBIECANA

JACEK BROMSKI — STORY

(odcinek siódmy)

W chatce...



16

W DZISIEJSZEJ AUDYCJI ZAJMIEMY SIĘ PROBLEMEM PORNOGRAFII. OTÓŻ, LANSOWANA PRZEZ ZBOCZENCÓW, ZWYRODNIANYCH PSEUDO-ARTYSTÓW WKRADA SIĘ ONA WSZĘDZIE, NAWET DO DZIECIĘCYCH BAJEK...

MILCZEK, ZAMKNIJ MU JAPĘ!

POSTAW JĄ BLIŻEJ PIECA, NIECH ODTAJE...

KRAKOWIAKZEK CI JA!!!

ZASIAŁI GÓRAŁE ŻYTKO...

W KIERY, DURNIU!!

PRZYSTĄPILI DO ZWYKŁYCH WIECZORNÝCH ZAJEC

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Sylwetka twórcza Jana Koprowskiego — mimo iż od lat trzech mieszka on w Warszawie, gdzie pełni funkcję zastępcy redaktora naczelnego „Literatury”, a poprzednio pracował w redakcji „Literatury na świecie” — znalazła się w „Słowniku pisarzy łódzkich” stąd, iż w Łodzi Koprowski przeżył swe najlepsze lata twórcze, tu przez bez mała ćwierć wieku współuczestniczył w tworzeniu życia kulturalnego, pracował jako kierownik literacki teatrów łódzkich, redagował „Łódź Literacką”, przekształconą następnie w „Kronikę”, pełnił wreszcie funkcję redaktora naczelnego „Odgłosów”. W roku 1966 otrzymał nagrodę literacką naszego miasta.

Jan Koprowski urodził się 10 lutego 1918 roku we wsi Pokrzywnica w województwie kieleckim i właśnie region świętokrzyski uważa za swoją najściślej ojczyznę, choć związki z tą ziemią stały się dziś jedynie związkami pamięci, inspiracji twórczej. Mając lat 16 zadebiutował wierszem pt. „Wiosenna orka” ogłoszonym w piśmie „Głos Wsi”, debiutem książkowym był wydany dwa lata później tomik „Do mojej ziemi” — poetycki wyraz ukochania Kielecczyny. W czasie wojny wywieziony został na roboty przymusowe do Niemiec. Po wyzwoleniu pracował w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie, studiując także filozofię na tamtejszym uniwersytecie. Od tego czasu datują się trwałe zainteresowania Koprowskiego literaturą niemieckiego obszaru językowego. W latach 1948 — 1950 mieszkał w Szklarskiej Porębie, aktywnie organizując życie kulturalne Ziem Zachodnich. Z okresu tego pochodzą dwa tomy wierszy: „Arkusze poetycki” oraz „Nowa ziemia” (1950).

W „Słowniku Współczesnych Pisarzy Polskich” takie znajdujemy określenie sylwetki twórcy Jana Koprowskiego: poeta, publicysta. Jest to formuła zbyt skromna, jest on bowiem także wziętym prozaikiem, eseistą i znanym tłumaczem.

Jakkolwiek wszystkie wspomniane dziedziny twórczości artystycznej uprawia on niemal równomiernie — to jednak poezja stanowi teren najczę-



Foto. Włodzimierz PARYS

JAN KOPROWSKI

ciej chyba odwiedzany. Dowodem liczne tomiki: „Pejzaże polskie” (1951), „W tym kraju” (1958), „Studnia przeszłości” (1961), „Swoje i bliskie” (1969), w roku bieżącym nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazuje się kolejny tom: „Nocne rodaków rozmowy”. Powiedzieliśmy niedawno, że poezja Koprowskiego to odmiany nadziei, nadziei widzianej przez pryzmat pytań egzystencjalnych, niepokoju moralnego, wynikającego zarówno z przeżyć i doświadczeń wojennych, z determinant historycznych, jak i z najbliższych osobistych poszukiwań. Określając kondycję człowieka nie skłania się poeta w stronę metafizyki, jego wiersze nierozdzielnie związane są z „tym krajem” i posiadają nieczęsto spotyka-

ną wśród współczesnych poetów cechę — konsekwentną prostotę.

Swe „credo” artystyczne tak wyraził: „Bohaterami mojej pracy są przezwyczajeni ludzie, uwikłani w sprawy drobne, codzienne, jakże niekiedy ważne i doniosłe, (...) w tych drobnych codziennych sprawach kryją się niezniśzczalne wartości ludzkiego życia”.

Pełne potwierdzenie znalazło ono w prozie, czy to zbliżonej do założenia realizmu socjalistycznego powieści „Sprawa Marcina Piechoty” (1951), czy też w utworze, którego akcja dzieje się wśród ludzi sztuki — „Potomkowie Tescpa” (1966), najbardziej widoczne jest jednak w opowiadaniach, opublikowanych w zbiorach „Strumień życia” (1960), „Było to w marcu” (1962), „Teraz i zawsze” (1968), „Zielone drzewa” (1972), nowy tom opowiadań ukazuje się również w roku bieżącym. Takie postawienie sprawy sugerować by mogło mylny trop, prowadzący w stronę formuły „małego realizmu”, jaka objęła znaczną część dokonanych przez Koprowskiego wykracza poza to zjawisko, jest realistyczna, ale i refleksyjna, nierzadko wręcz z trudem skrywająca momenty sentymentalne, nie brak jej także satyrycznej pasji. Obok całej właściwej jej konkretności, niekiedy niemalże interwencyjności, zawsze posiada perspektywę ogólnohumanistyczną. Odnosić też trzeba, że Koprowski jest autorem „Opowieści o moim ojcu” (1956), powieści „Dom na wzgórzach” (1968) oraz wspomnień „Powrót do kraju” (1964).

W bogatym dorobku pisarskim Jana Koprowskiego najciekawiej chyba prezentują się formy paraliateryckie. Eseistyka, publicystyka, reportaż, pociągają pisarza od dawna. Kiedyś, przy okazji recenzowania kolejnego tomu, napisano, iż „zawsze u Koprowskiego każde zdarzenie czy spotkanie pozostawia natychmiast ślad na papierze”. A spotkań tych odbyło się wiele i wiele ich „śladów” pozostawił w książkach „Z południa i północy” (1963), „Ludzie i książki” (1965), „Podróż po bliskiej Europie” (1965), „Na wschodzie i na zachodzie” (1970) oraz „Dzień powszedni literatury” (1972). W większości stanowią one

zbiór „listów z podróży”, podróży literackich odbywanych w określonych celach, są więc w prostej linii kontynuacją stałego od lat przejawu życia literackiego.

Bez trudu dostrzec można największą zapewne namiętność autora, polegającą na tropieniu i natychmiastowym wychwytywaniu poloników. Przejawia się ona w bacznej obserwacji rozmaitych publikacji, zabytków muzealnych, repertuaru kin czy teatrów, w poszukiwaniu śladów pobytu wielu bardziej i mniej znanych Polaków na obczyźnie. Zbiór „Na wschodzie i na zachodzie” rozpoczął stwierdzeniem, iż „nikt nie może niczego odkryć za nas dla nas”. Jest to podstawowa dewiza szkiców Koprowskiego. Niczego bowiem nie odkrywa za czytelnika, dzieli się z nim jedynie wrażeniami, impresjami z licznych podróży, w taki wszakże sposób, że zmusza do zastanowienia się, do głębokiej niejednokrotnie refleksji. Koprowski posiada wielką łatwość w nawiązywaniu kontaktu z czytelnikiem; w wytworzeniu atmosfery bezpośredniości pomaga autorowi przede wszystkim prosty język oraz duża, wręcz gawdziarska, swoboda narracji.

Aktywność publicystyczna wyraża się również w stałym felietonie (czy może raczej przeglądzie literackich spraw zagranicznych) na łamach „Literatury”, noszącym tytuł „U nas i gdzie indziej”, a będącym niejako kontynuacją serii wcześniejszych, drukowanych na łamach „Kroniki”, „Odgłosów”, „Literatury na świecie” oraz rozmaitych pism codziennych.

Znaczną część utworów Koprowskiego doczekała się tłumaczeń, publikowane one były w antologiach francuskich, hiszpańskich, niemieckich oraz radzieckich (po rosyjsku i litewsku). On sam jest aktywnym tłumaczem, przekłada głównie poetów niemieckiego obszaru językowego w jego opracowaniu ukazały się „Wiersze” Petera Huchela (1967) oraz „Wiersze” Georga Trakla (1973).

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

KSIAŻKA

„I BĘDĄ MUZY CÓRKAMI RZEŹNIKA”

Jerzy Harasymowicz jest jednym z najciekawszych, najpopularniejszych twórców średniego pokolenia. Od roku 1956, roku błyskotliwego debiutu, obdarza publiczność czytającą przeciętnie jednym zbiorem poezji rocznie. Czynnio mu nawet zarzuty (na wzrost chyba), że zbyt małe dokonuje selekcji własnych utworów przed ich publikacją. Świadczy to jednak nie tyle o braku krytycyzmu krakowskiego poety, co raczej o jakości jego produkcji.

„Córka rzeźnika” jest 22 kolejnym tomikiem Harasymowicza i zawiera trzy poematy: „Łąka”, „Wypięgnięty tramwaj Europy” oraz utwór tytułowy, anonosowany na „skrzydłku” jako „charakterystyczny popis błyskotliwej wyobraźni, ostrego humoru i bardzo indywidualnego widzenia świata”.

Ogólna ta formuła pozostaje w zgodzie z ocenami dotychczasowych dokonanych poetyckich autorstwa „Mitu o świętym Jerzym”. Dysponuje on istotnie błyskotliwą wyobraźnią nadrealistyczną, jego poezja rozsadza niejako codzienność. Z rzeczywistością, z którą stykamy się na co dzień, miesza ją w wyobraźni ludowej, obrazy prymitywistów czy baśniowe twory. Konkretność, realność przeplata się ustawicznie ze światem imaginacji.

Nowe poematy Harasymowicza są tak dokładnie osadzone w kontekście jego dotychczasowej twórczości, że nie zabrakło w nich typowej „arkadii przedmiejskiej”, Harasymowiczowskiego niejako wykładnika opozycji cywilizacji — natura. Zachowany został również — a nawet uściślony — wyrazny stosunek między wierszami i ich autorem („bo Jerzy wreszcie jest Polakiem”) i chociaż ruskie pruskie i tatarskie (są krwi wyłogi —).

Najciekawsza i najobszerniejsza jednocześnie w tym zbiorze jest „Córka rzeźnika” — autobiografia poety Jerzego, określająca jego kulturowe rodowód, pełna reminiscencji historycznych i aluzji do politycznych wydarzeń współczesnych, gęsto kraszona fantazją i „cudownością”. Napisana z niezwykłą łatwością sprawiać by mogła wrażenie zabawy poetyckiej, gdyby nie stosunkowo często pojawiające się gorzkie refleksje pod adresem Historii, co nie szczędziła narodu: Do dzisiaj boli zbroja pogięta kopcia złamana rwie jak ręka i stół każdy jest dla mnie stołem rozbiórów i narodów.

Ja w historii chodzę ubiorze poważnym (...) dla mnie stale trwa dziejów poelec

Tropy Wielkości Polski wiodą nie tylko poprzez literackie aluzje do Mickiewicza czy Wyspiańskiego. Do głosu dochodzi na wielką skalę codzienność, której poetyckim symbolem staje się właśnie „córka rzeźnika” („czym jest przy sztydzie rzeźniczym poemat”), codzienność jako pryzmat, przez który oglądana przeszłość nabiera wyrazistości, tracąc jednocześnie walory legendarne.

Córka rzeźnika (czyżby jej fotografia zdobiła okładkę tomu?) stała się muza poety Jerzego. Nie jest on wszak pod tym względem odosobniony. Bo jak pisał inny poeta, Jan Husza:

„wszyscy się kochamy w córce rzeźnika aczkolwiek paru z nas to wykwalifikowani poeci.

J. Harasymowicz, „Córka rzeźnika”, Warszawa 1974, Czytelnik, cena zł 20-.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

TELEWIZJA

OBECNOŚĆ MITU

Wśród seriali, które ostatnimi czasy stadami przesuwają się przez ekran naszej telewizji „Eneida” wwróżnia się ogromną starannością i kulturą realizacji. Pod tym względem do złudzenia przypominała inną opowieść starożytną, tj. „Odyseę” oglądaną w roku ubiegłym, którą zresztą wykonała ta sama ekipa pod wodzą Franca Rossiego. Obie adaptacje do niezbędnego minimum ograniczyły niebezpieczeństwo wulgaryzacji antycznych oryginałów. O możliwościach kinematografii w tym zakresie można było wielokrotnie przekonać się podczas bolesnego oglądania historycznych superprodukcji oznaczonych stemplem Hollywoodu.

Na tym tle zarówno „Odyseę” jak i „Eneida” były zaskoczeniem wielce pozytywnym, które wynika z przyczyn wymykających się standardyzującym regułom kultury masowej. Jest to bowiem sprawa żywotności antycznych tradycji właśnie we Włoszech, gdzie oba serie powstały. Pocucie żywych więzi z mitologicznymi źródłami naszej cywilizacji jest w ogóle w krajach śródziemnomorskich znacznie intensywniejsze niż u nas. Wynika to po prostu nie tylko z naturalnej i zrozumiałej chęci do utożsamienia się z jak najstarszą tradycją europejskiej kultury, ale także z materialnej obecności pomników starożytnej cywilizacji w tamtym kręgu geograficz-

nym. Stąd naturalny udział historii i literatury antycznej w edukacji młodego Włocha, dla którego przekazy starożytnej kultury nie są — jak dla nas — ledwie zapoznane i martwe. Ze tak jest na pewno, najlepiej świadczy ogromny sukces obu seriali u włoskiej widowni, która przegodzi mitologicznych herosów oglądała z ogromnym przejęciem.

Już sama konstrukcja fabularna obu adaptacji odwoływała się do powszechnej wyobraźni narodowej kształtowanej na tamtej, odległej tradycji. Z adaptacyjnej konieczności skróciła narracja pomijając różnice wątki oryginalu liczyła jak gdyby na konieczne uzupełnienie i wyobraźniowe rozwinięcie całości przez włoskiego odbiorcę doskonale zakorzenionego w pokładach antycznej mitologii.

Realizacyjny petyzm nie kierował się w stronę komiksowej dramatyzacji wygrywającej drastyczne momenty, ale polegał na stworzeniu hieratycznego rytmu tej powieści o zawiłych losach ludzi i bogów zanurzonych w mitologiczne otchłani pradziejów. Tu obyczajowy detal, muzealny rekwizyt, aktorski gest, poezja słowa i obrazu była ważniejsza niż serwituty żywej akcji obfitującej w krwawe efekty zwykłe wyściskane z tej tematyki przy innych okazjach. Jednocześnie Rossi nie unikał pewnego „estetyzującego naturalizmu” w

scenach bitewnych i emocjonalnej ekstazy w grze aktorów, co stworzyło egzotyczny klimat barbarzyństwa, który złożył się na poczucie odległego dystansu historii i pozwolił sięgnąć do antropologicznych źródeł mitu.

W przedsięwzięciu telewizyjnym Rossiego wyraźnie widać konkluzję, jakie realizator i jego ekipa wyciągnęli z tej propozycji interpretacyjnej antyku, którą w kinie przedstawił Pier Paolo Pasolini w głosnej ekranizacji dwóch tragedii greckich „Króla Edypa” i „Medei”, a także grecki reżyser Cacoyannis w filmowej wersji „Elektry”.

Trzeba bowiem pamiętać, że wizja antyku we współczesnej kulturze, przechodząc przez adaptacyjne stadła „enesansu i klasycyzmu, uległa daleko posuniętej konwencjonalizacji, którą najlepiej widać w inscenizacyjnych manierach współczesnego teatru. On też do niedawna miał jedyny monopol na antyk, zamykając go w sztywnej, patetycznej i monumentalnej scenografii i kostiumie podległym ustalonym kanonom stylizacji i to kontrowersyjne to było świadkiem odwiecznych konfliktów ludzkich wyrażanych w deklamatorskich oracjach. Kino, chcąc podjąć starożytny temat musiało ze swej istoty szukać innej wizji i wybrało drogę ryzykowną, ale jedyną. Pasolini dokonał w swoich obrazach zaskakującego zmieszania elementów różnych kultur prymitywnych, tak współczesnych, jak i historycznych. Tym samym przywrócił mitologii jej sens psychoanalityczny, głęboko ludzki, doznany niejako od wewnątrz tragicznych spłótów mitycznej historii, gdyż wyzwołony z martwych schema-

tów zewnętrznej inscenizacji. Jednocześnie filmowa próba Pasoliniego reinterpretacji antyku, z której tak wiele skorzystały serie Rossiego jest kolejnym dowodem, że stosunek do antyku jest we Włoszech sprawą nieustannie odradzającą się aktywności kulturalnej.

U nas wszakże oba serie — jak sądzę — spotkały się z umiarkowanym zainteresowaniem. Ich bohaterowie nie przejdą do podwórkowych zabaw, a perypetie mitycznych herosów nie były przedmiotem tramwajowych rozmów. U nas bowiem — i to jest wniosek oczywisty — tamta tradycja jest martwa, zastępyła w marmurowym geście. Jeszcze tylko program szkoły średniej ogranicza ją do niezbędnego minimum informacyjnego. Dyskusję z tą sytuacją, która jest zgodna nie tylko z aktualnym duchem czasu, ale również z żywotnością romantycznej formacji naszej kultury pozostawiamy czcigodnym idealistom.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

P. S. Wracając do naszych baranów — jak mawiają dowcipni Francuzi. Krzysztof Jakowicz w oświadczeniu opublikowanym w „Życiu Warszawy” z dnia 14. III. br. stwierdza, że w programie „Jest tak, jak się Państwu zdaje”, o którym pisałem w ubiegłym tygodniu, wykorzystano jego dwa różne nagrania tego samego utworu, a nie jedno. I kto tu jest większym szarlatanem: TV czy jej ofiary? Czy rzeczywiście jest tak, jak się Państwu zdaje?

JACEK BROMSKI — STORY

(odcinek ósmy)



ZDARZENIA I ZWIERZENIA

GLISCZYŃSKI

Przez dziesiątki lat ten poeta i dziennikarz był właściwie tylko symbolem, hasłem. Symbolem „Glisczyński” operowano zawsze, gdy trzeba było rzec dobre słowo na temat łódzkiej tradycji literackiej. Symbol „Glisczyński” starczał za argumenty.

A w gruncie rzeczy był to poeta zupełnie nieznan — jeszcze tylko doniekąd pamiętali tytuł jego zbioru wierszy „Z mroku i dymu”, ale już tych, którzy te wiersze kiedykolwiek czytali, było nieporównanie mniej. I trzeba było ponad siedemdziesięciu lat od wyjazdu Glisczyńskiego z Łodzi i ponad pół wieku od jego śmierci, aby ukazała się pierwsza książka o nim i pierwsza próba antologii

jego dorobku, autorstwa Heleny Karwackiej.

Madra, pełna nieznanych informacji książka o Glisczyńskim jest autentycznym wydarzeniem historyczno-literackim. Przypomina nam bowiem w sposób pełny, rzetelny postać pisarza i dziennikarza, który dla początków tradycji literackiej Łodzi ma znaczenie i pozycję pierwszorzędna.

Jest to książka odkrywczą, bowiem — jak wspomnieliśmy na wstępie — Glisczyński tradycyjnie kojarzy się z poetycznym pejzażem miasta. W gruncie rzeczy był to także, a może przede wszystkim — publicysta, kronikarz tego miasta, animator ruchu kulturalnego ożywienia miasta.

No i wreszcie poeta. Poeta wybitnym nigdy nie był, pisał bardzo wiele, miał niezwykłą łatwość tworzenia w mowie i w literaturze. Dziś wiele jego wierszy razi banalem — nawet jeśli przyłożymy do nich miary niewspółczesne, ale miary przełomu wieków XIX i XX. Ale był naprawdę pierwszym poetą Łodzi, który za temat swoich utworów wziął trudne, biedne miasto — miasto kontrastów, blichtru i nędzy, miasto wyzyskiwanego i głodującego proletariatu.

Artur Glisczyński pisał dużo i publikował w bardzo wielu pismach. Był zresztą zjawiskiem dość powszechnym wśród ów „niepolitycznej” literatury parających się codziennym zarobkowaniem literaturą na chleb codzienny.

Bożaś nad tym i wyznawał gorzko w wierszu „Literat”:

„Koniec, koniec! Dzień już świta

Jeszcze utwór przejrzał
trzeba...
O, jak syczą, jęczą, zgrzyta
Ten potworny wiersz dla
chleba”.

Artur Glisczyński — poeta, nieposiadający przecież miary — oddał swój talent w służbę dziennikarstwa. A jest to profesja niszcząca zdrowie i literackie talenty. Tak się zapewne stało z Glisczyńskim. Po wyjeździe z Łodzi żył jeszcze parę lat. Zmarł, ledwo przekroczywszy czterdziestkę. Zdziwiałoby, jak wiele porafił zdziałać przez niepełną dwadzieścia lat swojej pracy pisarskiej. Najpiękniejszy, najbardziej płodny okres jego twórczości przypała na łódzkie lata. I za to należy się mu czuła pamięć w historii kultury Łodzi. Książka Heleny Karwackiej jest tej pamięci pięknym dowodem.

WIDOK

LEWYM OKIEM

ZAKON ROMANTYKÓW

Cały szereg wydarzeń i faktów w ostatnich tygodniach zwróciło ponownie dużą uwagę czytelników prasy na sprawy związane z Republiką Federalną Niemiec. Nie mam oczywiście dostępu do poważnych źródeł informacji, ani nie dysponuję tak świetnym aktualnym rozeznanem atmosfery, panującej na co dzień w Niemczech Zachodnich, jak specjaliści od tej tematyki, luminarze naszej publicystyki i dziennikarstwa. Mimo to wydaje mi się, że nawet dociekliwa, „wścibska” lektura zwyczajnych drobnych ogłoszeń w prasie pozwala na wyrobienie sobie niektórych wyobrażeń o obyczajach codziennym, o stylu życia, o tych imponujących, które składają się na charakterystyczny wygląd danej zbiorowości.

Oto jeden tylko numer tygodnika hamburskiego „Die Zeit” z połowy lutego br. Wśród dowcipnych ogłoszeń matrymonialnych, zajmujących całą wielką kolumnę pisma, znajduję na przykład takie:

„Poszkodowany przez równoprawienie kobiet, 38-letni, związany kierowniczą funkcją z miejscem zamieszkania, o przeszłości akademickiej, kocha przyrodę, sztukę, dzieci, kobiety, nienawidzi ideologii — oczekuje, oferuje zdjęcia...”

Nienawidzi ideologii to chyba też ideologia, jakaś naiwna anarchiczna. Niezależnie jednak od tego — jeżeli ktoś akcentuje tak mocno swoją niechęć do politykowania, odwraca się tak manifestacyjnie plecami do spraw światopoglądu, kształtowania życia i otoczenia, losów ludzkich i — było nie było — własnych, jeżeli taka informacja stanowić ma w założeniu — i zapewne stanowi — atut na rynku matrymonialnym — to jaki stąd wniosek? Że obywateli RFN są zmezczeni dyskusją, żonglerką słów, sloganami, walką grup i frakcji partyjnych? Czy też — że są po mieszczańsku cyniczni i krótkowzroczni? Obawiam się, że to drugie.

Inny matrymonialny oferent podaje tu obok, że po latach doświadczeń stał się donatorem, optymistą i „dla odmiany” zorientowanym nie — lewicowo”. To przekorne „dla odmiany” nawiązuje zapewne do licznych ogłoszeń, w których właśnie „linksorientiert” podaje się jako swoją cechę znaczącą. A ten jest „dla odmiany” nielewicowy i chwali się, że to w wyniku długoletnich doświadczeń. Przekora czy cynizm?

Ogłoszenia świadczą o nagłym wybuchu frankofilstwa wśród Niemców zż. Baby. Aż kilku państw szuka żony Francuzki lub

co najmniej kochającej Francji. Jest też anons w języku francuskim — jakiejś Allemande (Niemki), która pragnie posłubić własną Francuzką. Nie dziwi nas o tym wszystkim małżeńskie mieszanie, sprawa ludzka i zdarzająca się wszędzie i zawsze, ale chyba rzadko bywa, żeby ktoś programowo, na zimno, za pośrednictwem prasy szukał za partnera właśnie obcoplemieńca. Perwersja czy kompleks?

Notabene mamy też Szwedki, ogłaszające się hurtem: „szwedzkie kobiety poszukują mężczyzn niemieckich, celem małżeństwa”. Dziwny jest świat.

Całą kolumnę zajmują także drobniutki ogłoszenia książek. Wśród takich tytułów, jak „Sexissimo” („dobrana para zamienia obowiązki małżeńskie w fantastyczną kurację i pokazuje z humorem najwymyślniejsze urozmaïcenia”), „Sex nielegalny”, „Ten przewodnik turystyczno-seksowny otwiera poufne bramy najintymniejszych ośrodków na całym świecie: reporter informuje bez skrupułów i tak dokładnie, że bez trudu odnajdziecie miejsca jego całkiem specyficznych orgii” — są też i takie, jak „Zakon trupiej czułości”, czyli powieść o SS, rekomendowana, jak następuje:

„Jest to historia o idealistach i przestępcach, o meżach ambitnych i romantycznych. Historia zakonu męskiego, najbardziej fantastycznego, jaki można sobie wyobrazić...”

A trochę dalej, w długiej liście nowości płytowych, odnajdu-

jemy starą znajomą — piosenkę, przy dźwiękach, której rytmu błoto w niemieckim Emslandzie, która ryczały gigantofony po każdym „Siegesmiedungu w całej okupowanej Europie: „Lili Marlen”. Cóż, piosenka jest zwycięska, tylko te skojarzenia, które nas przyprowadzają o gęsia skórka, a im laskoczą niezdrowe resentymenty...

Żeby zostać wyłącznie przy ogłoszeniach — aż cztery kolumny zajęte są anonsami biur podróży i organizacji urlopów, w tym także nudystycznych. I znów parę stron — o sprzedaży nieruchomości. Na całutkim świecie! Od 1,2 feniga za metr kwadratowy peruwiańskiej dżungli, aż po 2.300 marek — również za 1 metr, na wyspie u wybrzeży Grecji. Brać i wybrać!

Wśród „różnych” znajdziemy „kontakty informacyjne na tasnie magnetofonowej ze światem pozaziemskim — próbki przesyłamy” oraz „solidne małżeństwo proponuje adopcję swej 18-letniej siostrzenicy, dobrze urodzonej i wychowanej, kończącej gimnazjum...”

Co się z tym kryje? Nie wiemy. Pocieszamy się na zakończenie apelem redakcji o nadsyłanie adresów osób niewidomych. Wszystkim niewidomym „Die Zeit” wysyła bezpłatnie co 14 dni wydanie ze swych numerów, przepisane alfabetem Braille’a. To ładne.

CWIEK

PROPOZYCJE

DYLEMAT

„Neofite wlewa próżnia wmożonej formalizacji. Rezygnując ze swej tożsamości czy też po prostu ją tracąc, nie dostępuje żadnej „wyższej” rzeczywistości, staje się tylko dodatkowym i już oczywiście wyczerpanym z sensu akcentem w systemie formalnych odniesień”.

— Czy ty coś z tego rozumiesz? — zapytał mnie przyjaciel, przynosząc ze sobą „Opowiadania zebrane” Julio Cortazara. — To był cytaty z „Postawia” Zofii Chadyńskiej — wyjaśnił, abym nie miał żadnych wątpliwości.

— Jest to cytaty wyrwany z kontekstu — powiedziałem ostrożnie. — A wyrwany cytaty z kontekstu można każdemu wszystkim dowiedzieć. Nawet wbrew jego intencjom i logicznemu rozumowaniu.

— To inna sprawa — powiedział na to przyjaciel. — Mnie chodzi o sposób precyzowania myśli. Można je wyrażać żargonem, a można też wyrażać je prosto, po polsku. — Na przykład.

„Głównym zadaniem prakseologii jest uświadomienie, sformułowanie, uzasadnienie i systematyzacja zaleceń ogólnych i przestrog dotyczących sprawności działań, innymi słowy ich praktyczność”.

— To napisał Tadeusz Kotarbiński — ciągnął przyjaciel — a podejrzewam, że gdyby to pisał jakiś zadufany w sobie „uczony”, to rzecz całą tak by zamącił, że sam diabeł w tym nie byłby w stanie się połąpać.

Nie chciałem się spierać z moim przyjacielem, bo to i mądrzej był już przedświadczeni i wiosna wyprzedzała kalendarz, a wtedy wiadomo ludzi się nastawieni pokojowo, leniwie, bardziej zapatrzeni w siebie niż szukający zwady.

Ale wpadł mi w ręce zaległy numer „Życia i Nowoczesności” z 6 marca 1975 roku. Odkładam je sobie, aby poczytać w wolnych chwilach. Taka właśnie chwila nadeszła i w zaległym numerze zwartkowego dodatku do „Życia Warszawy” znalazłem następujący passus:

„Trudność polega m. in. na tym, że prace socjologiczne pisane dziś nie są adresowane do szerokiej publiczności, są bowiem dla niej w znacznym stopniu niezrozumiałe. Prace Krzywickiego czy Czarnowskiego mógł czytać każdy, kto umiał czytać i miał elementarne przygotowanie humanistyczne. Dziś prace socjologiczne są na ogół pisane językiem hermetycznym — nie dlatego, że sztucznie skonstruowanym, ale dlatego, że dużą część tekstów zajmują tablice i wykresy, są to więc teksty dla wtajemniczonych. Jednocześnie nie wykształciliśmy popularyzatorów, umiających przekładać te prace naukowe na język zrozumiały dla czytelnika prasy tygodniowej czy codziennej, prócz tego nie wykształciliśmy tłumaczy tych prac na język wniosków praktycznych”.

Ten cytaty pochodzi z rozmowy Andrzeja Wróblewskiego z przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Socjologicznego — prof. dr JERZYM SZAC-KIM.

Przeraża mnie jednak wołanie socjologa o tłumaczy z żargonu „naukowego” na język powszechnie używany przez Polaków. Mówili mi ludzie uczeni w naukach ścisłych, że trudno im jest porozumieć się nawet wzajemnie. Miałem niedawno spór z młodymi ludźmi, którzy kończą wyższą uczelnię i pragną zajmować się publicystyką po-

święconą sprawom filmu. Ich zdaniem artykuł, który nie zawiera żargonowych wyrażeń profesjonalistów jest płytki i bezwartościowy. Pewien podejmujący próbę doktryzacji historyk usiłował mnie przekonać, że powinno się pisać dla wąskiego kręgu wtajemniczonych. A kiedy próbowałem mu przypomnieć, że na przykład taki Szymon Askenazy (1866—1935) większość swoich tekstów drukował w pismach warszawskich, nie mógł zrozumieć o co mi chodzi.

Ot i mamy dylemat do świątecznych rozważań: dla kogo pisać? Czy grzeznąć w hermetycznych uduwieniaczach, terminologii rozumiały tylko dla niewielkiego grona, czy sięgać po szerszą popularność? W kręgach naukowych pisanie popularne, zrozumiałe dla szerszego grona odbiorców jest powszechnie lekceważone. Wyśuwając taki postulat można narazić się na lekceważenie, płytkość i brak intelektualnej głębi. A co gorsza, na sprzecznosc z... nowoczesnością. Jest to zarzut niezwykle ciężki. A jednak!

Wydaje mi się, że hermetyczność języka poszczególnych grup specjalistów przybrała u nas zbyt wielkie rozmiary. Bardzo często specjalistyczny żargon przykrywa ubóstwo myśli. Istnieje niewątpliwie specjalistyczna terminologia, ale istnieje też możliwość przekładania jej na język bardziej zrozumiały dla ludzi i ten trud nie powinien w naszym zubażać istoty intelektualnych koncepcji i rozważań. Niestety, mało kto potrafi połączyć się o taki trud. I to zaczyna być przerażające. Małuczko a będziemy potrzebowali nie tylko tłumaczy po to, aby porozumieć się z obcojęzycznymi, ale między sobą.

MARCIN RODAK

SPORT

Z MIESZANYM UCZUCIEM

Choć Jan Ciszewski ciągle krzychał, że zawodnicy RUCHU z Chorzowa odważnie wchodzi do akcji i zbliżają się do pola karnego przeciwnika, to strzałów na bramkę drużyny z St. Etienne było mało i można je policzyć na palcach jednej ręki. Ani jeden z nich nie był skutecznym i w rezultacie RUCH odpadł z dalszych rozgrywek o Puchar Klubowych Mistrzów Europy. I tu może się zgodzić z Janem Ciszewskim, że RUCH miał szansę, ale ją zmarnował. Zmarnował ją już w Chorzowie i zmarnował ją na stadionie w St. Etienne. Nie pociesza nas fakt, że REAL z Madrytu podzielił los chorzowian i też nie będzie brał udziału w półfinałach. Wprawdzie mówi się czasem, że nie jest hanbą przegrwać w dobrym towarzystwie, ale mecz rozegrany w Chorzowie i St. Etienne dowodzi, że gdyby RUCH przygotował się do nich solidnie, to nie musiałby się ratować porażką.

Nie mamy jakoś w tym roku szczęścia do Francuzów, mimo że darzymy ich sympatią i jest to sympatia odważnie mienna. Nie udało się naszym kolegom z udziałem w otwartym wysiłku Paryż — Nicea. Trener Karol Madaj próbował usprawiedliwić naszą czołową klęskę — uhonorowaną przecież światowymi tytułami — niedostatkami przygotowań i koniecznością udziału w takiej imprezie, traktując ją jako formę treningu, ale nie będę ukrywał, że mam wątpliwości. Wycięż ten na bardzo dalekich miejscach ukończyli tylko dwaj Polacy, w tym... Ryszard Szurkowski. Pozostali odpadali na trasie. Dziwna to zaiste forma treningu.

Usiłowałem nas przekonywać, że udział polskiej ekipy w Halowych Mistrzostwach Europy jest też tylko formą treningu. Jest sprawdzianem przed „prawdziwym” sezonem lekkoatletycznym. Kosztowna to forma treningu, jako że byliśmy gospodarzami tej imprezy. Mniejsza zresztą o koszty, ale

cała ta argumentacja o międzynarodowych imprezach jako formie treningu nie trzyma się kupy. Najpierw wmiawiamy każdemu i wszystkim, że sportowcy są ambasadorami Polski i ich sukcesy więcej niekiedy, znaczą od działalności innych, a później odwracamy kota ogonem i wszystkich porażki usiłujemy tłumaczyć treningiem. Nie jestem zupełnie pewna, czy w „Międzynarodowych treningach” — skoro tak się to nazywa — można pochopnie rozmiękać na drobne sławę mistrzów i międzynarodową reputację polskiego sportu?

RUCH, aby przygotować się do pucharowych rozgrywek, wojażował po Ameryce Południowej. Nie było to udane tournée. Patrzac na spotkania w Chorzowie i St. Etienne miałam wątpliwości, czy wojaż te przyniosły piłkarzom chorzowskiego RUCHU oczekiwane rezultaty. Brakowało im kondycji, zgrania, umiejętności strzeleckich. Byli po prostu nie przygotowani do pucharowego ćwierćfinału. Przegrali zasłużenie. A przecież obserwując oba mecze można było dojść do wniosku, że nie tak źle znów wiele trzeba było, aby również wygrać mecz w St. Etienne.

Patrząc na mecz rozgrywany w St. Etienne ciągle powracałam myślą do „ligowej młotkarni”, zastanawiając się, jak wielka jest różnica między poziomem piłki nożnej, jaki do niedawna reprezentowała kadra narodowa, a jaki reprezentacja ligowe drużyny. Przypominał mi się też rezultat rozgrywek o Puchar Polski. Do finału nie weszła ani jedna pierwszoligowa drużyna. O Puchar Polski walczyć z sobą będą drugoligowcy z Rzeszowa i rezerwy ROW z Rybnika.

Jan Ciszewski kończąc relację ze stadionu w St. Etienne powiedział, że żegnamy Puchar Europy do następnego roku. Można się spodziewać, że RUCH ponownie zostanie mistrzem Polski; czy przez rok czasu zdola nadrobić te niedostatki, jakie ujawniły się

w tegorocznych rozgrywkach? Czy znów powtórzą się błędy treningowych wojaży, które może i są zasłużoną nagrodą za piłkarskie zmagania, ale z właściwym przygotowaniem do walki nie mają nic wspólnego?

Z niepokojem myślę teraz o zbliżających się eliminacjach do Mistrzostw Europy. Po pierwszej turze rozgrywek ligowych przedstawicielem PZPN, obserwujący z uwagą te mecze, w których grali kadrowicze, z niepokojem mówili o ich formie. Ogólna opinia — mecze na przeciętnym poziomie, kadra w złej formie. A było to niewiele więcej niż miesiąc przed spotkaniem z drużyną Włoch. Do tego spotkania pozostały już tylko 3 tygodnie.

Wiem dobrze, że od sportowców nie można wymagać stale wysokiej formy. Nawet najlepszym zdarzają się porażki. I temu nie można się dziwić. Kibice — naród niecierpliw — stale chcieliby samych zwycięstw. Kibice traktują sport jak wielkie i atrakcyjne widowisko. Ich prawo. Myślę jednak, że kibice są ludźmi wyrozumiałymi i wybaczają swoim ulubieńcom, jeśli ci przegrają w „pięknym stylu”, po równej walce. Nie darują natomiast niedoległości, braków technicznych i braków kondycyjnych. I mają — niestety — rację. Czują się bowiem oszukani. A tak właśnie było zarówno na stadionie w Chorzowie jak i na stadionie w St. Etienne. Czy tak będzie również na stadionie w słonecznej Italii? Wszyscy myślimy dziś o tym spotkaniu z niepokojem. Piłkarze rozpalili nasze apetyty, nasze nadzieje. I słusznie boimy się, że mogą nas zawieść.

Dlatego na wszelki wypadek serdecznie proszę, nie opowiadajcie nam na przyszłość bajek o „Międzynarodowych treningach”. Już lepiej wyciągnąć właściwe wnioski ze stanu przygotowania naszych sportowców.

BOGDA MADEJ

IMPRESJA CZWARTA



Facet rozgoryczony wieloletnią użerką z urzędnikami. Zobaczy w podwórku jeszcze jednego, to albo nie zechce gadać, albo chwyci za coś ciężkiego. Z mieszanymi uczuciami jechałem do Stanisława Bednarka zamieszkałego we wsi Chrupki. Wcale nie jest pewne, że mu pomogę. Zaskodzić też mogę. W wydziale handlu i usług Urzędu Powiatowego w Podębicach powiedzieli, że próżna moja mitrega. Niech się lepiej zajmę rozwojem sieci placówek handlowych, bo krzywa rośnie. Na schodach dopadł mnie anonimowy urzędnik ze szczebla i oznajmił poufnie, że Bednarka ktoś pewnie skrzywdził, ale dobrze mu tak, skoro sam traci czas, zaniedbuje żonę i gospodarstwo, ludziom ubliża i wstyd tylko przynosi.

i rąbanie idzie jak diabli! Niech pan spróbuje!

— Zębów nie wybije?

— Pewnie soltys nagadał, bo go stuknęło. Odbijało trochę. Przy korbie zrobiłem luz, założyłem kawałek sprężyny i amortyzuje. Ja samouk, cztery klasy mam, i tak wszystko z głowy. Kieratu mi żal, proszę pana, wszędzie kasują, a to bardzo pożyteczna maszyna. Pokażę panu.

Wyszliśmy za stodołę. Kierat zwyczajny, ale z krótkim drągłem, a wokół kieratu wąskie szyny, na których stoi coś w rodzaju małej drezyny, przywiązanej do drąga.

— Zastąpiłem konia — powiedział Bednarek. — Koła od koleby z cegielni, silnik ze starego „Junaka”. Idzie normalnie na łańcuch, i porusza kierat. Szybkość wyregulowana na stałe, w sam raz. Wyląca się głośno, a ja samowystarczalny. Mogę podłączyć do sieczkarni, a jak zechcę, to do wialni. Nie, nie do tej dużej — mówi wprowadzając mnie do stodoły. — Do zwyczajnego młynka. Postawi-

Takie czasy...

— Stasiu! Wyżymaczka się zafila! — rozległ się tubalny babski głos. Aż podskoczyłem.

— Walki trzeba trochę rozluźnić — odpowiedział spokojnie Bednarek.

Usiedliśmy na ławie. Widząc moje pytające spojrzenie, kowal wyjaśnił, że zainstalował w izbie i kuźni głośniki i mikrofony. W ten sposób żona nie odrywa go od pracy, ani on jej i może sobie powoli dłużyć w kuźni.

— Stasiu! Nie zwracaj człowiekowi dupy na stojąco, ino chodźta na obiad! — zadudniło w głośniku.

— Na siedząco, kobieto — sprostował Bednarek. — To chodźmy już, proszę pana. Po co ma stygnąć?

Na stole dymyły talerze z rosolem, w którym pływał cienko pokrojony makaron. Bednarek powiedział, że bardzo lubi makaron, a pierogi to może jeść codziennie, zainstalował więc przy stołnicy wyżymaczkę własnego pomysłu; rzuca się kawałki ciasta i spomiędzy wałków wychodzą gotowe cienkie placki.

Kiedyśmy przepili pod rosół i opróżnili talerze, Bednarek powiedział:

— Jak pan widzi, robota ciężka i chętnych do nauki brak. Dzieci nie ma, to i następcy nie będzie. Trochę gorzko. Koniki się likwiduje, żelazniki też, zająłem się przeto w wolnym czasie tym moim dłużaniem. Baba klinie, u innych zrozumienia też nie znajduje.

Wyciągnął z szuflady plik papierów.

— Jeździłem i pisałem, gdzie się dało. I do usług w powiecie, do cechu i do Izby Rzemieślniczej w Łodzi, do NOT tak samo. Nic, jakby w kij pierdział! Pan przeczyta...

List z ministerstwa.

„W odpowiedzi na wasze pismo z dnia 17 kwietnia 1973 roku uprzejmie informujemy, iż projekt wózka dostawczego przekazałmy dyrekcji Zakładów Rowerowych „Romet” w Bydgoszczy”.

— Dwa lata minęło i żadnej odpowiedzi — mówi gorzko Bednarek. — Na inne moje postulaty odpisują, że przemysł nie jest zainteresowany produkcją seryjną.

— A ten wózek?

— No, właśnie! Zrobiłem go ze starego motoroweru „Komar”. Nie mogę panu pokazać, ponieważ sąsiad pożyczyl, żeby przywieźć worek nawozu z gęsu. Wie pan, wózek na wzór rikszy. Można nim przywieźć trochę kartofli lub zielonki z pola, odstawić mleko do zlewni łtepe. Jeśli nie seryjnie to można go chałupniczo robić dla rolników, byleby udostępniono mi te stare motorowery. To może śmieszne, ale chciałbym coś po sobie zostawić. Na pewno zostaną po mnie te ogrodzenia i bramy, które pan widział w Chrupkach, ale ja pragnąłbym czegoś więcej.

Z zawstydzieniem wyciągnął z kieszeni czarną plastikową rurkę. Z jednej strony płaski czerwony przycisk, z drugiej małe okienko z żarówką.

— Takie głupstwa też mi się trzymają w głowie — mówi cicho. — To działa jak śrubokręt, którego używają elektrycy. Widzi pan, kobieta moja jest zacofana. Kury jej się zachciwca macać tradycyjnie, a potem robi mi kluski, nie?

Nie lepiej włożyć ten przyrządek? Przycisk trafia na jajko i zapala się żarówka...

Na poważnie zniósłem to wyjaśnienie.

— Żona wcale nie przyszła do stołu — zauważyłem. — Wy tak stałe przez radio?

— Nie, ale ostatnio była awantura — Bednarek zniżył głos do szeptu. — Poszło o ten odkurzacz. Siłko gdzieś się zawieruszyło, jak na złość, a żonie zebrało się na gruntowne sprzątanie. Kurnik chciała wyczyścić, wie pan...

— I co?

— No i jajka jej powciągało. Wielki kogiel mógł się zrobić, proszę pana...

Każda wieś ma swojego pomyslnego. Nie wiem jednak, panie urzędniku anonimowy ze szczebla, czy Stanisława Bednarka można tak beztrudno nazwać pomyslnym. Człowieka łatwo skrzywdzić, proszę władzy powiatowej. Uważam Stanisława Bednarkę za ciekawego człowieka, który oprócz urządzeń mało praktycznych robi wiele rzeczy pożytecznych, zasługujących na uwagę. Nie wiem też, czy należy go kreować na telewizyjnego człowieka miesiąca. Jestem natomiast przekonany, iż warto zainteresować się jego pożyteczną dla rolnictwa działalnością. Bednarek potrzebuje mecenasa. Kto nim zostanie?

MAGAZYN

ODCŁOSY

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

Z OKAZJI ŚWIAT PRZYPOMINAM:

JAJOGŁOWI SĄ NA ŚWIECIE!

TYPY NAJCHĘŚCIEJ SPOTYKANE



NAUKOWA GWARANCJA SUKCESU

zdrowienia, urzędnicy na pewno zostaną pozdrowieni.

KOŁO I KOŃ

W Wytwórni Filmów O Wielkich Polakach zakończono zbieranie dokumentacji o Zbydku z Naleśnicy, wynalazcy konia pociągowego. Samorodny ten geniusz ludowy wyprzedził o kilka epok zachodnich konkurentów.

MAŁE KINO

seum. Użycie tych nazwisk gwarantuje niejako śmiech na widowni. Pozostałe nazwiska polskie nie są już tak zabawne.

Niestety, niedocenianie przez niego roli koła w procesie pociągowym doprowadziło do tragicznego w skutkach konfliktu ze zwierzęciem.

MĄDRY DRZEWOSTAN

NIE DLA NAS!

Rolnik płodozmianowy Stanisław Soloniec z Dębowej po długich latach perswazji i nalegań, wyhodował wreszcie bezinteresowną wierzbę, która wyciąga gałęzie w kierunku maszerującego wojska. Sympatyczne to drzewo przysła na pewno w naszych filmach batalistycznych, pod warunkiem niewyciągania przez żołnierzy rąk do wierzby w czasie marszu. Obecnie Stanisław Soloniec pracuje nad drzewem typu kalina namawiając je, by pozdrawiało urzędników państwowych. Stanisław Soloniec zapewnia, iż po uzgodnieniu z drzewem rodzaju po-

Naukowcy brytyjscy z dumą zakończyli prace nad filmem o życiu w kałuży. Dziwna to duma... Nie będziemy oglądać tego filmu. Takie życie nam nie odpowiada.

NOWINY Z TOKIO

Nadal panującym językiem jest japoński. Znany filmowy samuraj Jotiko-ha spotkał na skwerku polską wycieczkę w ramach Orbisu. Było dużo śmiechu, żartów i przedrzeźniania się, a wieczorem wszyscy grzeździe uderzyli w kimono.

TADEUSZ GIGGIER

FRASZKI

FRASZKA — NIEFRASZKA

Był kształci świadomości. Życie uczy nas, jak trwać w niebycie.

FUNKCJA INTELIGENCJI

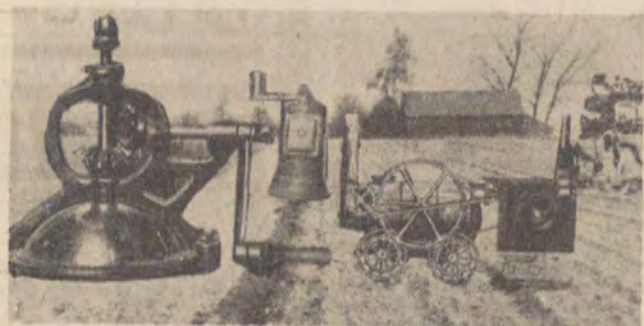
Punkt usługowy głowy.

FACH SATYRYKA

Trudno satyr nie pisać — to fakt. Lecz jeszcze trudniej uprawiać ten fach.

RYSZARD BINKOWSKI

NIE WSTYDZIE SIĘ ZA BEDNARKA!



Fot. Włodzimierz Parys

Patrzyłem na wysoki słup z prętami do wspinania. Na szczycie słupa podziurawione skrzydła wiatracze.

Z kuźni wyszedł siwowłosy mężczyzna, wycierając dłoń w fartuch usyty z worka. Wcale nie wyglądał na pomyslnego.

— Nie wierzyłem, że pan przyjedzie — powiedział. — A ten wiatraczek to już nie chodzi. Elektryki jeszcze nie było, kiedy założyłem prądnicę na wiatrak i słuchałem radia.

— Dawno pan już tak?

— Sześćdziesiątka w zeszłe lato stuknęła. Od piętnastego roku życia uczyłem się fachu u majstra Jana Zagaję w Porczy. Teraz czuję się jakby niepotrzebny...

— Przecież wykonuje pan wiele ciekawych rzeczy.

— No, to chodź pan — ucieśli się — pokażę!

Podwórce czystutkie, wymiecione do ostatniego piórka, chociaż ze trzydziści kur pałętały się z wesołym gąkaniem. Bednarek poprowadził mnie pod komórkę. Stało tu urządzenie podobne do studni na pompę. Zamiast koła znajdowała się jedna jego oś zakończona toporzykiem.

— Widzi pan? Zamiast machać siekierą, kręci się korbą, spuszcza toporzyko na pniak

lem go na podwyższeniu, wy-

starczy założyć worek i czyste zboże sypie się prosto do niego.

— I nikt pana nie prosił o pomoc? Nie ma chętnych do naśladowania?

— Uważają, że jestem siajbnęty. Śmiali się z odkurzacza, ale u mnie w obejściu zawsze czysciutki.

Odkurzacz jest „powiększony”, obity deskami, taka duża podłużna skrzynka. Bednarek wykorzystuje do niego gumowy wąż, zakończony szerokim lejem (w środku siłko, żeby kamienie nie wpadały), który jeździ na kółkach i oczyszcza podwórko, wyłożone płytami betonowymi.

— Ale tego pan w żadnym sklepie nie kupi — mówi Bednarek wskazując wysoką konstrukcję z porządnych rur. — To jest pompa do gnojówki. Do pompowania wykorzystuję „odkurzacze”. Myślę teraz, jakby taką małą pompę z siłnikiem spalinowym zamontować na beczce z gnojówką. Nie trzeba by było machać siekierą przy rozlewaniu, nie?

Wprowadził mnie do kuźni. Wnętrze trochę zaniedbane. Palenisko nieczynne, kowado zakurzone, obok stoi spawarka, szlifarka i nowy śrubokręt.

— Już z pięć lat temu przestawiłem się na inną robotę.

— Widzi pan? Zamiast machać siekierą, kręci się korbą, spuszcza toporzyko na pniak

— Wstyd?

— Jeździ po obcych urządach i paszkwile smaruje na powiatową władzę. Ze jest znieczuli- ca i kompletne absolutnie zaco- łanie.

— Trzeba z nim po ludzku pogadać.

— Panie! On tu był już pięćdziesiąt razy! Nikt nie chce jeździć oglądać tych cudownych mechanizmów, ściągając więc go do powiatu i na miejsce demon- struje. Ubiegłej jesieni przy- wiozł aparat do zbierania jabłek, gruszek i śliwek.

— Demonstrował?

— Jasne! Tyka z podpórkami, jakieś bloczki i linki. Manewru- jąc nimi poruszał grzebieniem podobnym do takiego od zbiera- nia jagód i wraz z liśćmi ścia- gał owoce do zaczepionego na końcu tyki worka. Jak się za- częł z niego podśmiewać, to urządził prowokację. Poszedł mianowicie z tym aparatem, za nim luda pół setki, do księdza proboszcza i w jego sadzie de- monstrował. Komendant MO chciał rozproszyć zgromadzenie, ale bał się wkroczyć na teren plebanii. Bednarek, panie, to uparty kowal. I pewnie trochę pomyłony...

2.

Nie zrażony takim wprowa- dzeniem pojechałem do Chru- pek. Wiesz w pejzażu prawie bezleśnym, można by rzec, rozwojowa; droga bez wy- bojów, wyspana szlaką w czy- nie społecznym, strzechy prze- trzebione, na dachach anteny; dużo nowych domów z czerw- nej cegły, sklep spożywczy, kap- liczka i klub „Ruch” w przy- watnym mieszkaniu.

Zacząłem rolnika, który wyrzucał gnój z obory. Otari- ręce o welwetowe spodnie, po- wiedział, że nazywa się Jan Ju- rek i zakurzył sporta.

— Mnie tam nie do tego — mruknął niechętnie. — Panu trza do soltysa.

— Pan nie może powiedzieć?

— Co się rozchodzi o wykup saletrzaku, to bynajmniej na- sza wieś nie odstaje i są zada- nia przekraczane w hodowli za- równo.

— W porządku — przerwałem — ale jak trafić do Bednarka Stanisława?

Gospodarz wyraźnie spoch- murniał.

— Pan z telewizji? — spytał sięgając po widły.

— Nie, z gazety.

— Aha! Bo on się odgrażał, że sprowadzi z telewizji i całej Polsce pokaże swoje maszyny.

— A jak on żyje? Znać go przecież.

— Mnie tam nie do tego — nasroził się Jurek. — Soltys za- rzadził, żeby nie udzielać da- nych.

— Pan udzieli, a ja powiem, że nie było rozmowy.

— O, Jezus! Co się tyczy Bednarka, to barzy on rolnik niż kowal. Sześć hektarów i dwa- naście arów gruntu, w tym dwa hektary łąk. Na tę okoliczność hoduje pięć krów, ostatnio by- sia odstawił na skup. Kobieta zajmuje się kurami przeważnie. W gminie postępowość, to Bed- narek usług świadczy dla ludno- ści małowiela. Kuźni bynaj- mniej nie skasował.

— No, ale racjonalizator — wtrąciłem.

— Taki, jak za przeprosze- niem nie przymierzając z pułki parasolka. Panie, żeby dla swoich widzimisów, ale on w ramach usług zrobił człowieko- wi świństwo. Małowiele zachod- zi z potrzebą, dziadek Abra- mowski Feliks jednakowyż przyprowadził do podkucia cha- betę. Ucieszony Bednarek po- wiedział, że zrobi po nowemu, na lekko. No i przykręcił kobyłe dwie podkowy z tego czarnego śluznego, co to spody robią do butów i są one nie do zdarcia. Szkapą stapała lekko, ale nie- równo, bo żelazne podkowy cie- żyły, a jak wdepta ze szlaku na mokry bruk, kulosy się rozla- żyły, jedna z miejsc zwichnięta i weterynarz musiał nastawiać.

— Dobra, ale gdzie on mie- szka?

— Nie radzę odwiedzać. To na końcu wsi, pod brzeziniakiem, ale nie radzę! Bez radio on ga- da z kobietą i trza ich będzie powadzić na komisję poje- dynczą do gminy. Tej jego cho-

— Widzi pan? Zamiast machać siekierą, kręci się korbą, spuszcza toporzyko na pniak

LIST GOŃCZY

HANS C. ARTMAN

ŻYCIE CYGANÓW



JACEK BROMSKI, zam. w Warszawie, ostatnio grasujący w Łodzi, poszukiwany jest za przestępstwa natury estradowej i plastycznej. Latem ubiegłego roku był autorem głośnego incydentu na terenie Opery Leśnej w Sopocie. Wyżej wymieniony wtargnął mianowicie — notabene w stanie absolutnie trzeźwym — na estradę Festiwalu Piosenki wygłaszając wobec zebranej publiczności szereg opinii, często zresztą w języku obcym, który specjaliści zidentyfikowali jako język angielski.

Jacek Bromski ponadto dopuścił się na łamach tygodnika „Odgłosy” obrazu szeregu osób powszechnie uznanych za świetlane. Zniszczył mianowicie ob. ptk Plater Emilię (dziewięć) oraz wyrzucił się sceptycznie o twórcach dzieła filmowego pt. „Orzeł i reszta” suponując jakoby twórcą owego obrazu orłem nie był.

Jacek Bromski dopuścił się także deprawacji młodzieży polskiej występując jako disc-jockey w znanej speluncie pn. „Maxim”.



CWIEK, charakteryzujący się kompletnym brakiem owłosienia, a dla zmylenia przeciwnika no-

szący brodę i gęste włosy, jest stałym mieszkańcem Łodzi, który posługuje się w pewnych kręgach imieniem i nazwiskiem Włodzisław Krzemieński. Pod tym nazwiskiem wkradł się w łaski różnych urzędów, gdzie zbierał mniej lub więcej poufne informacje, które później sprzedawał obcym osobom, patrząc na nie „lewym okiem”.

Od dawna podróżuje po kraju w „wesołym autobusie”, choć o sobiście nie odznacza się wesołym usposobieniem. W ubiegłym roku poszukiwany był za włamanie się do redakcji „Kultury”, skąd wyniósł pokaźną sumę pieniędzy, tłumacząc się przed władzami, że otrzymał ją w nagrodę za poufne informacje na temat urzędników.

Poszukiwany jest również za napad na „Wydawnictwo Łódzkie” i Łódzką Rozgłośnię Polskiego Radia.



LEKTOR, zam. w Łodzi, posługujący się w swojej przestępczej działalności wizytówką z napisem „doc. dr hab. Andrzej F. Grabski”, poszukiwany jest za grasowanie, mające wszelkie pozory pracy naukowej, na terenie Polskiej Akademii Nauk. Wyżej wymieniony, w bliżej nie znany sposób, zyskał zaufanie wydawnictwa MON, publikując tam szereg książek, w których ujawnił fakty z życia wielkich Polaków.

Lektor alias A. F. Grabski, poszukiwany jest ponadto za notoryczne refleksje historyczne na łamach tygodnika „Odgłosy”. W tych mocno podejrzanych tekstach wyżej wymieniony przemycił różnego rodzaju myśli i stawia pytania, na które bardzo trudno odpowiedzieć.

Lektor grasuje na terenie Łodzi, Warszawy i Paryża. Cechą charakterystyczną poszukiwanego jest notoryczna małomówność.



ERICH VON DÄNIKEN, zam. w Szwajcarii, międzynarodowy aferzysta o podejrzanej reputacji, poszukiwany jest za szereg publikacji poddających w wątpliwość darwinowską teorię ewolucji. Däniken przy pomocy swego rezydenta w Polsce, niejakiego B. Krakowiana, spowodował okupację tygodnika „Odgłosy” przez przybyszów z Marsa.

Wszelkie błędy, przeoczenia i nieprawidłowości obserwowane ostatnio na łamach „Odgłosów” spowodowane są właśnie ingerencją Marsjan wprowadzonych podstępnie do lokalu redakcji.

Erich von Däniken podejrzany jest również o organizację siatki swoich zwolenników, która na terenie Łodzi kieruje niejakim B. Krakowianem alias Marianną Goździk.



BOGDA MADEJ, zam. w Łodzi, znana jako aferzystka sportowa, poszukiwana jest przez zarządy klubów sportowych w Łodzi. Wyżej wymieniona odsadziła od czci i wiary co najmniej kilkudziesięciu sportowców polskich, którzy ciężkim wysiłkiem mięśni zdobywają w świecie uznanie dla osiągnięć naszego kraju.

Bogda Madej ponadto, w sposób całkowicie perfidny, zadawała publicznie szereg drażliwych pytań, m. in. na temat układu komunikacyjnego Łodzi, produkcji i sprzedaży mebli oraz innych spraw, na temat których należałoby wypowiadać się z konstruktywną rozważą.

Bogda Madej podejrzana jest również o wydłużanie od szeregu osób cennych informacji, które następnie spieniężyła na łamach „Odgłosów” w cyklu „Prezentacje”.



MARCIN RODAK, zam. w Łodzi, posługujący się sfałszowaną legitymacją na nazwisko Lucjan Bogusz oraz kartą meldunkową na nazwisko Lucjusz Włodkowski, poszukiwany jest za szereg ciężkich nadużyć argumentacji. Upřednio grasował w Warszawie, gdzie włamał się do kaplicy przy Pl. Starynkiewicza, następnie dokonał napadu rabunkowego na lokal tygodnika „Odgłosy”.

W różnych środowiskach podaje się za futurologa, robiąc w ten sposób nieuczciwą konkurencję ob. Klimuszce. Władzom znany jest fakt, że Marcin Rodak alias Lucjan Bogusz alis Lucjusz Włodkowski nawiązał kontakty z osobnikiem o pseudonimie „Gruby Stefek”. Marcin Rodak podejrzany jest również o zdejmowanie kilku programów publicystycznych telewizji, za co zresztą został ujęty i osadzony w Warszawie przy ul. Woronicza 77. Wkrótce potem zbiegł w nieznanym kierunku.

Obecnie przebywa prawdopodobnie na Dworcu Warszawa — Śródmieście, skąd bezskutecznie próbuje przedostać się do Łodzi.



WIDOK, zam. w Łodzi, posługujący się w różnych podejrzanych środowiskach (dziennikarze, literaci, plastycy) dowodem osobistym na nazwisko Jerzy Wilmański, poszukiwany jest za beczelne czeplanie się wszystkich. Wyżej wymieniony ponadto włamał się do szeregu redakcji („Głos Robotniczy”, „Karuzela”, Polskie Radio), terroryzując personel swoimi tekstami.

Widok alias Wilmański, poszukiwany jest także za ciężkie obrażenia kilkudziesięciu osób ze sfer naukowych i gospodarczych. Ponadto wyżej wymieniony wszedł w przestępcze kontakty z takimi osobnikami jak Andrzej Grun ps. „Krwawy Jędrus”, Leszek Orlewicz, ps. „A Vista” oraz Feridun Erol, ps. „Feri”.

Widok grasuje głównie na terenie Łodzi. Podejrzany jest także o pisanie wierszy.

Kto urodzi się Cyganem, dostaje na imię Big Bronco, albo też, gdy chodzi o dziewczynkę — Manuela.

Cyganie północni są praworęczni, południowi maikutami, Cyganie środkowi noszą w nocy brody z jasnego lnu.

Gdy Cygan idzie do pracy, zdmuchuje kurz ze skrzypiec i przemycza je mieszaniną soku przyrządzonego z kwiatów maku oraz sproszkowanej skorupki ślimaka.

Gdy Cygan się naje, wychodzi z cygarem na powietrze; ze względu na opady atmosferyczne jego łóżko znajduje się zawsze pod nieruchomą chmurą.

Gdy Cygan prowadzi spór sądowy, sędzia zakłada upleciony ze słomy cylinder i wypowiada słowa: „Oh mani brode psi”, co znaczy: „Rozprawa zaczęła się”.

Gdy Cygan ma sen, przechowuje go dla teatryku cieni i komponuje podkład muzyczny.

Cygan uprawiający jeździectwo dosiada żyrafy lub zebry: początków wszelkiego cyrku należy upatrywać w cygańskim niepokoju.

Cyganów zalicza się do antypodów: stare opisy ukazują Cyganów chodzących na rękach ścieżkami tasmańskich pasterzy. Naczelnym bogiem Cyganów jest Gwiazda Polarna, a mimo to ciągną oni ustawicznie ze wschodu na zachód.

Gdy Cyganowi zachce się świątyni, wdrapuje się na topolę i modli; kazaniem, którego wówczas słucha, jest poranne brzękanie cynkowych baniek na mleko w zagrodzie pobliskiego dzierzawy.

Cyganki noszą dzieci w swego rodzaju roślinnym bebnie; gdy dmie wiatr lub pada deszcz karmione są piersią pod kapturem. Prawdziwy Cygan każe sobie przynosić piwo z najbliższego sorkhaż tresowanym bocianom — nie uznaje napiwków.

Cyganie i Cyganki zwołanie tańczą: Cygan wymyślił balladę Cyganka charlestona i słow.

Na dworze carskim przebywali Cyganie; pomiędzy nimi znajdowali się karły i giganci. Pewna olbrzymka imieniem Fandaga uwiodła cara Wsiewołoda II i została zesłana na Alaskę.

Cygan nie pływa, religia zezwala mu tylko na kąpiel w wannie albo mycie przy nowiu podczas dni świątecznych, które trzymają się w tajemnicy.

Z historii Cyganów nie można podać nic godnego upamiętnienia, posiadają jednak znakomitą poezję: do najlepszych poetów zaliczany jest kotlarz Goetero.

Język Cyganów jest łatwy: mieśko — księżyc, sonko — słońce, pańko — kobieta, męzko — mężczyzna, bumpo — pumpy, glupo — osioł.

Razko, dwako, trzyko, czterko, piątko, sześko, siedko, ośmko, dziewko, dzieśko! Tak liczą Cyganie do setko.

Cyganie, którzy napili się czarodziejskiej wody, stają na wysokiej górze, gdy zaczyna ubywać księżyc i majstrują nowe skrzypce dla przyszłych pokoleń.

Ich muzyka nie jest większa niż paczka zapalek i nie mniejsza od pol na równinie.

Pismo Cyganów składa się z jaskółek, kakał, jajek, noży kieszonkowych, wydłubanych dziurek i końskiego łajna, którymi zapelniają swoje rękopisy i dzienniki.

Gdy Cygan zachoruje, zawieszają przed domem pikową damę; gdy zemrze i spoczywa martwy zostaje pochowany, ale nie idzie do nieba — które dla niego zwie się niebko i w którym przez całe życie pokłada swoją pełną cygańską nadzieję.

Przełożył:
KONRAD FREIDLICH

MAGAZYN

POWIĘKSZENIA

CZARUS

Sprawozdawca sportowy „Dziennika Łódzkiego” w relacji z meczu LKS — ARKA Gdynia pisze: „Łódzianie wygrali zdecydowanie spotkanie z Arką i tym samym udowodnili, że wbrew wszelkim pesymistom odgrywać chcą w ekstraklasie decydującą rolę”.

Już odgrywają. Na końcu ligowej tabeli.

„GDZIE SĄ TE CHŁOPY?”

Rewelacja z „Wiadomości Sportowych”: „Każdy chciałby wygrać, a szczególnie w przeciąganiu liny, która to konkurencja obrazuje przecież męskość”.

Ciekawostka!

RACJONALIZATOR

Czytelniczka „Dziennika Łódzkiego” pisze do redakcji, że zdaniem gospodarza domu przy ul. Uniwersyteckiej 48: „...psom nie wolno biegać po trawnikach, ani też załatwiać tam swoich potrzeb fizjologicznych, (...) w niedzielę nie wolno psom wcześniej szczebać niż po 8 rano”.

JACEK BROMSKI — STORY

(odcinek dziewiąty)

